

Kamena

LUBLIN 15.XI.1967 Nr 21 (378) R. XXXIV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

ZMS na Białostocczyźnie

Opinia tworzy opinia niszczy

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

W BIAŁYMSTOKU doszli kiedyś do wniosku, że pieniądze leżą w krzakach. Nawet nie na ulicy, ale właśnie w krzakach, w najczęściej tu spotykanych — wiklinowych. Po uwiadomieniu sobie tej prawdy dyrektor Stanisław Bartoszewicz rozegrał się uważnie po województwie i pojechał do Nowogrodu, znanego niegdyś miasta, dziś podupadłego, w którym, jak się okazało, zlokalizowano jednak budowę zakładów wikliniarskich. A okoliczne wsie i miasteczka cierpiały na nadmiar rąk do pracy, przede wszystkim — dziewczęcych i kobiecych. Chodziło więc o to, aby córki i matki nauczyć zawodu. W takich właśnie okolicznościach powstała słynna „epopea wikliniarska” białostockiego Uniwersytetu Robotniczego ZMS, kierowanego przez St. Bartoszewicza.

Dotychczas 150 kobiet zdobyło kwalifikacje zawodowe na tych kursach, prowadzonych przez Uniwersytet, kilkadziesiąt następnych uczy się właśnie na kolejnym kursie. Dzisiaj nie można narzekać na brak kandydatek, ale na początku dochodziło do zabawnych nieporozumień. Kilka razy musiał Bartoszewicz jeździć do Rajgródu, niewielkiego miasteczka o ciągle żywych tradycjach szlacheckich, aby przekonać w końcu szlachcianki, w mini-spódniczkach, że rzemiosło nie hańbi. Znacznie poważniejszy konflikt wybuchł między dwoma miejscowościami: Szczuczynem i Grajewem, które zresztą od lat żyją w stanie cichej wojny podjazdowej, ponieważ historia zadecydowała o przeniesieniu stolicy powiatu z pierwszego do drugiego. Kiedy więc Szczuczyn zorganizował kurs wikliniarski i zaczął kaperować grajewianki, wielkie oburzenie zapanało w Grajewie. I znów Bartoszewicz, z właściwym sobie taktem, godził rozgorączkowane strony.

Uniwersytet Robotniczy ZMS istnieje już dziesięć lat, w październiku obchodzi swój jubileusz, uświetniony przyznaniem Złotej Odznaki im. J. Krasińskiego. Początkowo był on placówką posługującą się filii powiatowych, które z czasem przekształciły się w samodzielne uniwersytety. Dzisiaj, bez przesady, jest instytucją o wielkim autorytecie i równie wielkim znaczeniu dla województwa.

Jego wieloletnia działalność charakteryzuje się przede wszystkim różnorodnością inicjatyw ściśle jednak związanych z potrzebami środowisk młodzieżowych. Kiedy powstała fabryka włókiennicza w Fastach, brał udział w organizowaniu technikum dla pracujących i prowadził dziesiątki kursów zawodowych dla robotników, dokształcał ich w zakresie szkoły podstawowej. Później — o czym była już mowa — wkroczył do małych miast i wsi, gdzie swoją działalnością rozwiązał wiele poważnych problemów społecznych. Uczestniczył także w szkoleniu junaków ochotniczych hufców pracy...

Białystok ma ambicje całkowitego przekreślenia dotychczasowej opinii województwa rzekomo gorzszego, opinii pokutującej jeszcze w innych regionach kraju. Stąd właśnie takie hołubienie Akademii Medycznej i Wyższej Szkoły Inżynierskiej, co jednak nie osłabia ostrości widzenia spraw trudnych, będących spadkiem sprzed wielu lat. Wiadomo więc, że jeszcze dzisiaj poziom intelektualny i zasób wiedzy absolwentów szkół średnich Białostocczyzny daje im gorszą pozycję startową w staraniach na wyższe uczelnie — w stosunku do młodzieży wielkich miast. Dlatego też jednym z głównych kierunków działania Uniwersytetu Robotniczego jest systematyczne organizowanie, niespotykane w tej skali, kursów przygotowujących młodzież do egzaminów na uczelnie. Poza wadą doprowadził on do otwarcia w Białymstoku punktu konsultacyjnego SGPiS, którym do dziś się opiekuje.

(Dokończenie na str. 4)

O POSTĘPIE pedagogicznym coraz więcej mówi się i pisze zarówno wśród pracowników nauki, czy w kręgach działaczy oświatowych, zwłaszcza reprezentujących Związek Nauczycielstwa Polskiego, jak wśród czołowych przedstawicieli administracji oświatowej i coraz szerszych rzesz nauczycielstwa. Widocznie obok postępu ekonomicznego i postępu technicznego postęp w dziedzinie oświaty i wychowania z samej natury rzeczy musiał się zjawiać na porządku dnia. To zaś, że sprawą postępu pedagogicznego ma się zająć Komisja Oświaty i Nauki Sejmu PRL świadczy, iż zacytnamy o postępie pedagogicznym nie tylko dyskutować, lecz zastanawiamy się, jak dotychczas osiągnięty postęp skutecznie wspierać, jak dalszy postęp planować i osiągać.

Fakt tego zainteresowania postępiem pedagogicznym można częściowo wytłumaczyć świadomością dysproporcji, która występuje z coraz to większą ostrością w obecnej fazie budownictwa socjalistycznego w Polsce. Jest to dysproporcja między naszymi olbrzymimi osiągnięciami w dziedzinie przekształcania stosunków produkcji oraz w dziedzinie rozwoju sił produkcyjnych, a wychowaniem nowego człowieka, który by dorastał do tych stosunków i do tych sił. Inaczej mówiąc, jest to dysproporcja między po-

stępem ekonomicznym i technicznym a postępiem pedagogicznym. Wydaje się, iż niełatwo byłoby znaleźć dowody, że jej ostrze nie-dwuznacznie zwraca się przeciwko postępowi ekonomicznemu i technicznemu, przeciwko postępowi społecznemu.

ne zmieniają samych ludzi, jest znacząca doza słuszności, nie zawsze zmiany te są współmierne do oczekiwanych, niekiedy zaś pozostają z nimi wręcz w sprzeczności. Nie zawsze np. dochody ze społecznej produkcji zasilały wyliczone skarby socjalistycznego państwa, nie zawsze pracownik państwowy stoi twarzą na straży społecznego mienia.

Położenie nacisku na zmiany w

osiąganie wyższego szczebla, jak i efekt końcowy który zwykle — w celu określenia wielkości postępu — zestawia się z punktem wyjścia. Samo wszakże stwierdzenie, czy dany szczebel rozwoju jest wyższy lub niższy należy do zadań nielubianych, opiera się bowiem na pod-

A CO Z POSTĘPEM PEDAGOGICZNYM?

WINCENTY
OKOŃ

Wprowadzając nowy ustrój społeczno-ekonomiczny musimy się liczyć z tym, że każdej fazie jego realizacji ma odpowiadać określony stan świadomości społecznej, na który składa się taki a taki zespół postaw psychiczno-społecznych poszczególnych obywateli. Stąd kształtowanie nowego człowieka przez wytworzenie tych postaw musi być procesem towarzyszącym dokonywaniu reform ekonomiczno-społecznych. Jest zrozumiałe, że w pierwszych stadiach budownictwa socjalistycznego znaczenie łatwiej — dysponując wiedzą — wprowadzić te reformy niż zmienić ludzi stosownie do nowych potrzeb. Toteż procesy przekształcania ludzi muszą tu być otaczane nie mniejszą opieką niż procesy ustrojowo-ekonomiczne. Choć bowiem w twierdzeniu, że nowe warunki społeczno-ekonomicz-

ludziach odcina nas od ilościowego tylko pojmwania postępu pedagogicznego. Jeśli postęp ekonomiczny, czy techniczny mierzy się przede wszystkim ilościowo, to postęp pedagogiczny ma głównie charakter jakościowy. Trzeba go rozumieć jako uzyskiwanie pożądanych zmian jakościowych w rozwoju ludzi, jako przechodzenie od niższego do wyższego szczebla rozwoju.

Mówiąc o postępie w jakiegokolwiek dziedziny ludzkiej działalności mamy na myśli zarówno cały splot czynników ułatwiających

tego wartościowania. Za podstawę tego wartościowania przyjął Marks zasadę humanizmu socjalistycznego, według której miarą wartości stosunków społecznych jest stopień ucisku i wyższości człowieka przez człowieka. Stąd też socjalizm jako ustrój oparty na uspołecznieniu środków produkcji jest ustrojem postępowym w stosunku do tych, które oparte były (lub są) na indywidualnym władaniu środkami produkcji, warunkującym ucisk i wyzysk.

(Dokończenie na str. 4)



W Nałęczowie...

Fot. Janusz Urban

JALU KUREK

Zajęcie ciotki po śmierci

KOBIECINO o stwardniałych
piętach.

ucielniona cnota ciemnoty
i uczciwość,
jak żyjesz
na drugim świecie?
Pasam krowy na firmamencie.
CIOTKO, kiedy nachylasz się nisko,
widzę twe gwiazdne pastwisko,
Krowy, owce i kozy
pasą się spokojnie na halach
w konstelacjach Raka i Panny.
Placzesz, gdy bydło trzeba zagonić
do stajni za Drogą Mieczną,
do galaktycznej pustki,
Placz splaya nieustanny,
Izami opada w kielichy kwiatów.
KROWY pozarzynane przez
człowieka,

wypracowane aż po zdechnięcie,
wyprute z żył, padłe, pożarte,
niewyczerpane źródła mleka,
paście się po niebieskich halach,
w słodkiej trawie zaświataw,
posłuszne naprawskiej pastercce.
Was zabił nóż. A ją — serce.

1960

JANUSZ ŻERNICKI



o czym śpiewa kora drzew

od brzoź północ i posągi wzdłuż
w otwartym forteplanie fiordów
pora oblecana kilka fraz
na lehtarze kafe przesłania
wielką miłość choć nieładną
krynoliny parostatków
drugi brzeg

z oleń czarna matka boska
z poderzniętą grdyką
rzek
uczyleś wtedy w pewnej wal
nie były to lata złe

a od wiazów pruski mur
i zaulki i wleżyski
i uzdrowisk poetyczność
i muzyki drobnołistność
powróciłś niemy z gór

potem dęby tylko dęby
długo pieszsz wiersz zdrewniały
w słonach i w organach i w gazetach
w bibliotekach i w festynach
i w pogrzebach
z dębów w dęby
wyplatany
poplatany
czczej prowniej kory sznur
patetyczny sznur

1967



Literatura

— Nareszcie będą mogli być tylko z planu — oświadczył ambasador Gwatemali w Paryżu Miguel Angel Asturias po stryżeniu literackiej nagrody Nobla. Dodajmy, że za epublikację książki „Pan Prezydent”, w której ostro skrytykował dyktatorskie rządy Cabrery, był we własnej ojczyźnie uwieszony.

W czerwcu 1967 r. ma odbyć się w Nicei międzynarodowy festiwal literacki. Zgromadzi on nie tylko literatów, ale i wydawców, ilustratorów, drukarzy oraz naukowców. Wśród gości z ponad 30 krajów pojawią się m. in. Szolchów, Henry Miller, Steinbeck, Senghor, Salvador Dali.

W Bratysławie odbyła się z inicjatywy stowarzyszenia pisarzy słowackich konferencja poświęcona pracy literackiej Vladimira Clementisa z okazji 43 rocznicy jego urodzin i 15 rocznicy jego śmierci. Clementis był nie tylko politykiem, ale także doskonałym pisarzem.

W Nikozji prezydent Makarios otworzył pierwszą na Cyprze wystawę francuskich dzieł sztuki. 48 obrazów ułożonych na ponad 6 mln franków.

W Londynie otwarto wystawę prac Juliana Zebrowskiego „Warszawa żywa”. Organizatorem wystawy, na którą składa się ok. 100 plaszów ilustrujących życie naszej stolicy od września 1939 roku po dzień dzisiejszy, jest Zrzeszenie Polonii Brytyjskiej.

250 tys. osób w USA i Kanadzie obejrzało wystawę zabytków sztuki polskiej. Po 7 miesiącach wędrowki 127 eksponatów powróciło do kraju bez najmniejszych uszkodzeń.

Włoskie wydawnictwo Federico Arborio Mella z Mediolanu zamówiło u polskich artystów-fotografików zdjęcia do hasła „Polska” w przygotowywanej encyklopedii. Przekazano już wydawnictwu 76 fotografii, przedstawiających polską architekturę zabytkową oraz dzieła polskiej sztuki a także najciekawsze przykłady naszej sztuki ludowej.

3626 obrazów, rysunków, rzeźb, medali, projektów architektonicznych i pomników wystawiono w paryskim Grand Palais na wystawie tzw. niezależnych.

Lódzkiemu Muzeum Historii Włókiennictwa przyznano nagrodę Stowarzyszenia Belgickich Krytyków Sztuki („Association des Critiques d'Art de Belgique”) za ekspozycję „Gobelin i kobierce polskie 1962-1966”. Uznana za najlepszą w r. 1967 wystawa polska ekspozycja była kolejno od marca br. w Namur, Brukseli, Gandawie, Charlevoix, Antwerpi i Malines. Zorganizowano na niej 49 gobelinów i kobierców — prace 25 polskich artystów.

W wieku 88 lat zmarł w Rzymie malarz Andra Alfano. Przed wojną był oficjalnym malarzem dworu królewskiego, malował także Mussoliniemu. Jego pejzaże zdobą najświetniejsze muzea Europy.



Laureat nagrody literackiej Nobla Miguel Angel Asturias czyta własną książkę „Pewna Mulatka”.

W targach książki we Frankfurcie n/Menem uczestniczyło 2871 wydawców z 43 państw, z czego 38 wydawców z NRD. Wyłożono 200 000 książek.

Nakładem holenderskiej formy wydawniczej Mousaait w Amsterdamie ukazał się tom opowiadań Józefa Hena „Bokser i śmierć” w przekładzie P. Jacobsa. W obzernym tomie znalazły się m. in. obok tytułowego opowiadania „Krew Walczących”, „Archiwum”, „Kłopot z psem”, „Autobusy jak 66-lwie”, „Wielki bieg Deptaly”.

W wieku 88 lat zmarł w Rzymie malarz Andra Alfano. Przed wojną był oficjalnym malarzem dworu królewskiego, malował także Mussoliniemu. Jego pejzaże zdobą najświetniejsze muzea Europy.

Sztuka

Wrocławiu powstało pierwsze w kraju studium aktorskie teatrów lajkowych. Na pierwszym roku kształciło 20 osób. Studia potrwały 3 lata. Studenci mogą praktycznie próbować swych sił na specjalnie uruchomionej scenie.

W duńskim mieście Aalborg przebywa 4 polskich reżyserzy — M. Bocuz, M. Wleczka, B. Kierszowski i J. Jarnuszkiwicz. Dzieki poparciu władz miejskich mają oni wykonac dla miasta wiele form przestrzennych na wzór tego, co zrobiono w Eblagu.

W obecności ministrów kultury ZSRP K. Furewej i Francji A. Mastrux otwarto w Paryżu wielką wystawę sztuki rosyjskiej od lat nadsławianych aż do współczesnych dzieł artystów radzieckich. Wystawa obejmowała ponad 600 eksponatów, z których wiele po raz pierwszy opuściło muzeum w Moskwie, Leninradzie, Tbilisi i innych miastach.

1 400 medali, wykonanych przez 400 artystów z 28 krajów znalazło się na wystawie wiedeńskiej medali artystycznych w Paryżu Największym zainteresowaniem cieszą się medale wbiite na cześć Lenina, em. de Gaulle i papieża Jana XXIII.

Celem przyciągnięcia turystów Nicea postanowiła refundować sobie kosztami 7 mln franków muzeum sztuki wiedeńskiej. W ramach komitetu muzealnego powstanie trasywlotowy parking dla 223 samochodów — kosztem ponad 4 mln franków.

Muzyka

Z 70 pianistów, biorących udział w konkursie muzycznym w Genewie, najlepszym uznano 23-letniego Jerzego Sulikowskiego z Gdańska. Jest on adiunktem Państwowego Wyższej Szkoły Muzycznej w tym mieście.

Laureatem i ogólnopolskiego konkursu organowego został Józef Serafin z Krakowa.

Dawid Ostrach wykonał w Moskwie „Drugą koncepcję” na skrzypce i orkiestrę Szostakowicza. Sukces był tak wielki, że po 5 minutach oklasków Ostrach bisował, czego normalnie nigdy nie robi. Po koncercie telefonował do szpitala, w którym przebywa Szostakowicz, gratulując kompozytorowi.

Międzynarodowy festiwal jazzowy w Pradze stał na bardzo wysokim poziomie. Szczególnie zachwycał multiinstrumentalista amerykański Murray Roland Kirk i orkiestra Francji Rollanda. Przyjeżdżał niemal w całości polski wniosek o powołanie do życia Międzynarodowej Federacji Jazzowej.

W roku ub. paryska Opera Komicka wydała 12 milionów franków, a wniety wyniosły półtora miliona. Przewiduje się przekształcenie tej placówki w popularny teatr liryczny, co ma znaczenie zwiększyć liczbę widzów.

Orkiestra kameralna z Pragi występowała w kilku państwach Europy zachodniej. Szczególny podziw budziło to, że występuje ona bez dyrygenta, a rolę „lidera” pełni pierwszy skrzypek. Krytycy podkreślają mimo to znakomite zdyscyplinowanie zespołu.

Wielka orkiestra radia i telewizji bułgarskiej pod dyrykcją W. Stefanowa dała koncert w 3 wielkich miastach Francji, spotykając się wspaniale z owacyjnym przyjęciem.

W Casablance zmarł tenor José Zañon, który w ciągu swojej kariery ponad 5 tysięcy razy śpiewał w operze Lehara „Kraina uśmiechu”.

Byłoby zbrodnictwem, a niekaralnym zniechęceniem się wyznawanie wszystkich bractw i biedów. Jeżeli panna Anne Ayer miała odwagę wystąpić z recitalem, niech ma odwagę wycofać się z zawodu, w którym nie może osiągnąć — oto wyjątki z recenzji, jaka ukazała się w „Journal de Geneve”. Kto u nas w razie potrzeby napisałby coś podobnego?

Nie znana u nas opera Pucciniego „Dziwaczka z dalekiego Zachodu”, napisana w 1918 r. przez tenora na wielu scenach europejskich (autorem libretta jest Amerykanin Dawid Belasco, także autor libretta „Madame Butterfly”). Krytycy określają ją jako doskonały western, pierwszy i jedyny tego rodzaju na scenie operowej.

29 listopada w Hamburgu odbędzie się prapremiera opery „Pinochio” Daniela Strana, opartej na słynnej książce dla dzieci.

142 kompozytorów i dyrygentów z całego świata wystosowało list protestacyjny do prezydenta Korei Południowej domagając się zwolnienia kompozytora I Sang Yum. Lsttem został on porwany w Hamburgu przez wywiad południowokoreański, a obecnie prokurator domaga się skazania go na śmierć „za nielegalne kontakty z reprezentantami Korei Północnej”.

Asnavor wyruszył na podbój nowej publiczności. Po występach w nowojorskim Carnegie Hall rozpoczął dwumiesięczne tournée w amerykańskich uniwersyteckich specjalnie dla studentów skomponował kilka piosenek.

Dymitr Szostakowicz ukończył nowy utwór — drugi koncert na skrzypce z orkiestrą. Pierwszym wykonawcą dzieła będzie prawdopodobnie Dawid Ostrach, który w 1955 roku odegrał również pierwszy koncert tego kompozytora. Nowy utwór włączono do cyklu muzycznego poświęconego 50-letniej rocznicy Październikowej. Szostakowicz skomponował także cykl pieśni do słów Aleksandra Błoka.

W Marsylii zmarł Jean Manse, bratanek Fernanda. Skomponował ponad 100 piosenek dla Fernanda, kilka operetek i muzykę do wielu filmów.

Różne

W ruinach Kartaginy odkryto mozaikę, zawierającą 19 obrazów z polowań. Mozaika jest bardzo podobna do tej, jaką przed laty odkryto na Sycylii w Piazza-Armerina.

W Kolonii odbyły się „Dni kultury polskiej”. M. in. odbył się koncert Filharmonii Krakowskiej z W. Kedra, czynna była wystawa polskiego plakatu o tematyce społecznej.

Roberto Benzi zerwał kontrakt z orkiestrą kameralną w Paryżu oświadczając, że nie będzie z nią współpracował do końca życia. Na próbach bowiem brakowało zawsze trzeciej części muzyków.

25-letnia piosenkarka amerykańska Joan Baez, która w czasie występów śpiewała o okrucieństwach wojny w Wietnamie i domagała się jej zakończenia, została aresztowana przez policję amerykańską podczas demonstracji pokojowej w Oakland, a potem skazana na 10 dni aresztu.

Jedno z wydawnictw szwajcarskich podjęło wydanie encyklopedii w zeszytach — co tydzień jeden, razem 15 tomów po 18 zeszytów razem, 20 tysięcy kolorowych zdjęć.

Policja w Waszyngtonie aresztowała Johna Steinbecka, w którego mieszkaniu znaleziono 10 kg narkotyków. Chodzi o syna słynnego pisarza; John senior przebywa w szpitalu, lecząc nowotwór.

Zespoły Beatlesów i Rolling Stones mają polować się w jeden, ale tylko jeżeli chodzi o interesy. Pod względem artystycznym mają działać osobno.

Van Cliburn był zaproszony do Białego Domu, aby z jakiejś okazji odegrał kilka utworów. Ale w samolocie pozostawił walizkę, która zgineła. Wysapł więc w ubranu i bieliznie samego prez. Johnsona.

Calość majątku, pozostałego po zmarłym Somerset Maugham, cenią się obecnie na milion funtów szterlingów. Wszystko to na podstawie testamentu otrzyma sekretarz pisarza — Alan Searle. Chyba wystarczy na pokrycie kosztów pobytu na ziemi...

Teatr

Bolesław Mierzelewski, aktor Teatru im. St. Wyspiańskiego w Katowicach, obchodzi 80-lecie urodzin i 60-lecie pracy artystycznej. Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Międzynarodowa federacja aktorów postanowiła zafundować sobie maszynę elektryczną, której zadaniem będzie kontrolowanie programów radiowych i telewizyjnych, także nadawanych za pośrednictwem sztucznych satelitów. Chodzi o to, aby kontrolować, czy stacje nadawcze placą aktorom odpowiednie honoraria.

Victor Auz, komisarz generalny teatrów narodowych w Hiszpanii, złożył rezygnację ze stanowiska. Protestuje on przeciw skróceniu przez władze z projektu repertuaru wszystkich odważniejszych sztuk, krajowych i zagranicznych. Spór wybuchł po skróceniu sztuki, której akcja toczy się wokół strajku robotników.

Pier Paolo Pasolini napisał dwie tragedie (wierszem), które mają być wystawione przez teatr w Turynie.

Teatro Italiano del Balletto stał jedynym teatrem we Włoszech, który otrzymuje subwencje państwowe.

Szerzej interesujących imprez kulturalnych i artystycznych odbyło się w tegorocznym sezonie letnim w Krakowie. Miodzi odbywały podwawelskiego grodu w każdą sobotę i niedziele gromadzili się w Parku Decjusza, gdzie występowały zespoły big-beatowe, m.in. „Szwaby” i „Czarne Perły”. Imprezy te połączone były z występami satyryków, „zgadul-zgadulami”, itp. Inną ciekawą imprezą muzyczną był „Izomorf 67” — poświęcony w całości tematowi plastycznemu.

Paryski „Teatr Słowa” staje się teatrem popularnym i otrzymuje do swojej dyspozycji budynek po dawnym cyrku Medrano. Wydzielona grupa będzie miała przedstawienia dla dzieci.

Władze miejskie Edynburga oświadczyły, że w przyszłym roku na organizację festiwalu dadzą tylko 25 tys. funtów w tym, jak dotychczas. W takim wypadku zorganizowanie festiwalu byłoby niemożliwe. Równocześnie władze miejskie domagają się od państwa dotacji 2,5 mln funtów na budowę nowego teatru (koszt całkowity 4 mln funtów).

Film

W listopadzie na ekrany polskich kin wejdzie 12 nowych filmów fabularnych i 1 dokumentalny. Wśród nich polski film przygodowy o te-

matywie latolosej „Paryż — Warszawa bez wzy”, reż. H. Prądnicki według opowiadań K. Sławinskiego.

W Moskwie odbyła się prapremiera filmu „Jaki twój dom jest ci drogi”. Jest to dokument o obronie Moskwy w latach 1941-42.

Brigitte Bardot na ementalzu w Saint Tropez kupiła sobie mieszkanie w własny grób. Zdziwili co do niej okładają na tym miejscu kwiaty żałobne.

„Mój mąż należy do mnie: zabije go, gdy zechce” — to tytuł makabryczno-komediowego filmu, który powstaje w Rzymie z Catherine Spaak w roli głównej.

We Włoszech rękazano wytworzenia filmu „Blow-up” reżyserii Antonioniogo. Film otrzymał Grand Prix na ostatnim festiwalu w Cannes. Podobno jest niemoralny.

Jak się okazuje i René Clair zmieniła zawód. Po „Wielkich manewrach” stworzył już same chwały, rzuca więc film i zaczyna pisać sztuki teatralne. Co z tego będzie — zobaczymy, on sam jest pełen nadziei.

Jean Marais prapremieruje na rok rzuca film. W tym czasie będzie instruuwał kaskadę o aktorach, którzy najbardziej zasłużyli się w upowszechnieniu dzieł Mollera.

Teatr

W ruinach Kartaginy odkryto mozaikę, zawierającą 19 obrazów z polowań. Mozaika jest bardzo podobna do tej, jaką przed laty odkryto na Sycylii w Piazza-Armerina.

W Kolonii odbyły się „Dni kultury polskiej”. M. in. odbył się koncert Filharmonii Krakowskiej z W. Kedra, czynna była wystawa polskiego plakatu o tematyce społecznej.

Roberto Benzi zerwał kontrakt z orkiestrą kameralną w Paryżu oświadczając, że nie będzie z nią współpracował do końca życia. Na próbach bowiem brakowało zawsze trzeciej części muzyków.

25-letnia piosenkarka amerykańska Joan Baez, która w czasie występów śpiewała o okrucieństwach wojny w Wietnamie i domagała się jej zakończenia, została aresztowana przez policję amerykańską podczas demonstracji pokojowej w Oakland, a potem skazana na 10 dni aresztu.

Jedno z wydawnictw szwajcarskich podjęło wydanie encyklopedii w zeszytach — co tydzień jeden, razem 15 tomów po 18 zeszytów razem, 20 tysięcy kolorowych zdjęć.

Policja w Waszyngtonie aresztowała Johna Steinbecka, w którego mieszkaniu znaleziono 10 kg narkotyków. Chodzi o syna słynnego pisarza; John senior przebywa w szpitalu, lecząc nowotwór.

Zespoły Beatlesów i Rolling Stones mają polować się w jeden, ale tylko jeżeli chodzi o interesy. Pod względem artystycznym mają działać osobno.

Van Cliburn był zaproszony do Białego Domu, aby z jakiejś okazji odegrał kilka utworów. Ale w samolocie pozostawił walizkę, która zgineła. Wysapł więc w ubranu i bieliznie samego prez. Johnsona.

Calość majątku, pozostałego po zmarłym Somerset Maugham, cenią się obecnie na milion funtów szterlingów. Wszystko to na podstawie testamentu otrzyma sekretarz pisarza — Alan Searle. Chyba wystarczy na pokrycie kosztów pobytu na ziemi...

Film

W listopadzie na ekrany polskich kin wejdzie 12 nowych filmów fabularnych i 1 dokumentalny. Wśród nich polski film przygodowy o te-



Dawny pałac Branickich, dziś Akademia Medyczna. Fot. A. Polakowski

Notes „Kamery”

Alibi

JOZEF BARECKI

OK temu nowy kanclerz NRF, Kurt Kiesinger proklamował nową politykę wschodnią Niemiec zachodnich. Czego on wtedy nie obiecywał? Wydawało się, że na fotelu kanclerskim zasiadł człowiek, który ma sam miód w gębie. Deklaracja ryla się od takich słów, jak pojednanie, zrozumienie, dobra wola, były w niej i wyciągnięte ręce i życie w pokoju, jednym słowem przełom i rewolucja.

Znaleźli się na Zachodzie politycy, którzy uwierzyli Kiesingerowi. Nas jednak gosiłowne deklaracje i grzecznościowe zwroty nie mogły przekonać. Zbyt dobrze znaliśmy dotychczasową politykę Niemiec zachodnich, by jedno wystąpienie rozwiało naszą nieufność. Czekałmy na czyn. Czekałmy na realizację pięknie brzmiących zapowiedzi. I nie doczekaliśmy się niczego. Ryłcho okazało się, że nowa polityka wschodnia jest nową tylko z nazwy, jej treść pozostała stara. Adenauer chciał odzyskać polskie Ziemię Zachodnie i zlikwidować NRD przy pomocy siły. Kiesinger postanowił uczynić to samo w nowy sposób, przez „dogadanie się” z nami, użycie jakiegos targu, zrobienie interesu, jak by tu chodziło nie o sprawy życia i śmierci narodu, ale o dobre spieniężenie pary butów.

Miraż nowej polityki mógł działać na wyobraźnię opinii publicznej Zachodu tak długo, jak długo można było powtarzać te same deklaracje i zapowiedzi. W końcu musiało się wydać, że nowy kanclerz i nowy rząd Niemiec zachodnich nie mają żadnej alternatywy nowej polityki. Opinia czekała na uznanie przez Bonn granicy na Odrze i Nysie. Politycy bońscy odzegli się od tego jak diabeł od święconej wody. Opinia czekała na uznanie NRD. Politykom bońskim uznanie drugiego państwa niemieckiego nie tylko przez myśl nie przeszło, ale nawet jego nazwa przez usta się nie przedostała. Opinia czekała na zrezygnowanie Niemiec zachodnich z użbrojenia nuklearnego. Nowy kanclerz zdwoił wysiłki, aby dostęp do tej broni uzyskać.

Alie gadanina o nowej polityce wschodniej Bonn kwitła w Niemczech zachodnich bez przerwy. W końcu kuglarze, uprawiający tę grę, musieli wymyśleć jakieś usprawiedliwienie swojego postępowania, wytłumaczenie demonstrowanych sztuczek. Postanowili poszukać alibi.

Orzekli więc najpierw, że to nie oni, lecz my, Polacy, Czechosłowacy, Rosjanie, jesteśmy winni niepowodzenia nowej polityki wschodniej. Ze swojego punktu widzenia mieli całkowitą rację. Istotnie, nie chcieliśmy się zgodzić na „pokojową” likwidację NRD i „pokojowe” oddanie naszych Ziemi Zachodnich. Alibi okazało się jednak nie do przyjęcia przez najbardziej nawet próbnośko nastawione odłamy zachodniej opinii, nie mówiąc już o całkowicie jednoznacznej reakcji naszych sąsiadów i naszego społeczeństwa.

Znaleźli więc nowy wykręt. Niedawno kanclerz Kiesinger stwierdził, że on — oczywiście — rozumie pragnienie narodu polskiego do życia w zabezpieczonych granicach, ale jego rząd nie może uznać naszych granic zachodnich i zgodzić się na istnienie NRD, ponieważ mogłoby to spowodować wzrost fali prawicowego radykalizmu w NRF, czego w żadnym razie nie należy

lekceważyć. Alibi, trzeba powiedzieć, sprytnie obmyślane, ale nialwne. Dla każdego, kto zna stosunki w Niemczech zachodnich, nie jest tajemnicą, że wzrost wpływów i znaczenie neohitlerowskiej partii NPD zaczęło się w zasadzie od chwili dojścia do władzy wielkiej koalicji z Kiesingerem na czele, że ruch ten zrodził i dodaje mu bodźca, jak wykrętana, obłudna polityka obecnej ekipy rządzącej w Bonn, perspektywa nie tyle uznania istniejącego status quo w Europie, ale jego zmiany przy pomocy nowych metod.

Nie koniec na tym. Kiesinger straszny wzrostem neohitlerizmu, Brandt natomiast wniebity inna kartę i próbuje udowodnić, że w ogóle rzecz cała polega na nieporozumieniu. Rozumowanie ministra spraw zagranicznych NRF jest genialnie proste. Polacy — twierdzi on — mówią, że istnieją dwa państwa niemieckie. Granicę polską uznano jedno z tych państw, NRD. Czego więc chcą oni od nas, NRF? Gdyby zgodził się na ich żądanie, to my wówczas moglibyśmy powiedzieć: co to nas obchodzi, nikt nam przecież nie każe uznawać granicy między Holandią a Belgią, czy między Danią a Szwecją.

Przywódcy bońscy wystawiają sobie niezłe świadectwo ignorancji. Ciekawe, jak by reagowała np. Belgia, gdyby NRF chciała zlikwidować i wchłonąć Holandię oraz odebrać Belgii jedną trzecią jej obszaru? Gdy jest wygodnie, Bonn twierdzi, że granice niemiecko-polskie muszą być uregulowane w traktacie pokojowym i NRF nie odstąpi od tej zasady, gdy to jest niewygodne Bonn mówi, że sprawa nie istnieje, ponieważ między NRF a Polską zachodzą takie stosunki, jak między NRF a Belgią. Gdzie logika, gdzie sens?

Większość prasy zachodniemieckiej wtóruje przywódcom NRF w ich poszukiwaniu argumentów, mających wytłumaczyć fiasko nowej polityki wschodniej. Nie cała jednak prasa NRF udaje, że nie wie o co chodzi.

Nadzieje związane z wielką koalicją — my nigdy takich nie mieliśmy — zostały rozczarowane — pisał „Koelner Stadt-Anzeiger” (nr 236). — Plan zbadanie blokady wschodniego przez Rumunię spalił na panewce... Nic się już nie dzieje. Bońscy krupierzy przegrali grę. Wygraną zagarnął Ulbricht... Jego państwo nabiera siły.

O tym, czy te Niemcy (NRF) rzeczywiście pragną ukroczyć na drogę pokoju — pisze „Stern” — w Warszawie i w Berlinie sądzą nie tyle według deklaracji, jakich wiele liczy historia i o których wiadomo, że często obowiązują tylko na papierze, lecz według sytuacji psychologicznej w Republice Federalnej. A tu „przecież wciąż jeszcze mówi się o „krwawącej granicy”, o „prawie do oświecony” i o tym, że kiedyś znów wrócimy do Breslau i Hindenburga.

Nie trzeba tych świadectw, żeby dostrzec, że cały kamuflaż nowej polityki wschodniej, niezliczone deklaracje i ofensywa pięknie brzmiących słów miały służyć do zamaskowania starych, agresywnych celów bońskiej polityki. Gra jednak skończyła się wcześniej niż przypuszczali jej autorzy. Teraz szuka się alibi, żeby usprawiedliwić jeszcze jedno bankructwo, jeszcze jeden spekul.

„Proces” w Puławach

MACIEJ PODGÓRSKI



Fot. Danuta B. Łomaczewska

ZACZEŁO się wszystko trochę dziwnie. Przyszło mi bowiem zostać obserwatorem na fikcyjnym procesie przeciwko nie istniejącemu człowiekowi! Oskarżyciele, obrońcy i sędziowie byli ludźmi, jak to się mówi, z krwi i kości, tyle że 14-15-letnimi. Oskarżony — Willi Sonnenbruch, jedna z postaci „Niemców” Kruczkowskiego. Miejsce „procesu” — Szkoła Podstawowa nr 1 w Puławach, lekcja języka polskiego w klasie VIII.

O tym, że to „szkoła eksperymentalna”, że ma niejaki sukcesy, wiedziałem już w Lublinie. Przyjechałem do Puław, nie uprzedzając nikogo o zainteresowanych, chcąc zobaczyć dzień powszedni eksperymentu (głównie w zakresie języka polskiego). I trafiłem właśnie na lekcję-proces, bynajmniej nie pokazując ani też w ścisłym sensie eksperymentalną, jak się później dowiedziałem, choć o niektóre założenia eksperymentu oparta.

Uczniowie samorzutnie wyłonili spośród siebie grupy odpowiadające „stronom” w rozprawie, wyłonili też sędziów, reszta pełniła rolę „prasy”. Naradzano się skrupulatnie, dyskutowano „zab za zab”, „dziennikarze” notowali pilnie. Przestrzegając cały czas konwencji procesu sądowego, ostatecznie skupiono się na trudnym zagadnieniu moralnej odpowiedzialności człowieka za przestępstwa, których dokonuje on pod naciskiem totalnego systemu. Taki problem w klasie VIII!

Oryginalna forma lekcji zostawiająca szerokie pole dla samodzielnej pracy uczniów, opartej na ich osobistym zaangażowaniu i zainteresowaniu. Nauczyciel jest tylko dyskretnym (ale, oczywiście, koniecznym) inspiratorem, doradcą; pamiętając o celach merytorycznych (poznawczych i moralnych), organizuje równocześnie dobrą zabawę, której reguł uczniowie trzymają się chętnie.

Nie jestem skłonny do babelnych rozstrzygnięć wobec „naszych pociech”. Ale tych uczniów obserwowałem z dużą satysfakcją — szczególnie, gdy mówili, bo wówczas zawsze stwierdzałem, że nie mają trudności w konstruowaniu prawidłowej wypowiedzi. Ani śladu „dukania”. Duży zasób słów. Budują okresy, którym niewiele można zarzucić pod względem językowym i myślowym. To warunki a zarazem progresywny efekt lekcji opierających się na aktywnej i samodzielnej pracy całej klasy.

Żeby lekcje takie stały się w tej szkole czymś zwykłym, trzeba było wysiłków sporej grupy ludzi. I tu zblizamy się do historii eksperymentu, jego głównych celów, a także zajęć eksperymentalnych sensu stricto.

Zyczliwość Inspektoratu Oświaty oraz współpraca Instytutu Pedagogiki — to główne zaplecze puławskiego eksperymentu. Choć stosowany w szkole, znajduje on się

zaledwie w wieku... przedszkolnym, gdyż liczy sobie tylko trzy lata. Narodził się w momencie, kiedy szkołę przeniesiono do nowego, pięknego budynku (powstały wówczas dogodne warunki materialne dla realizacji przedsięwzięcia). Opiekunem i konsultantem naukowym z ramienia Instytutu jest dr Edward Fleming, który drogą badań empirycznych wychodzących z dorobku nowoczesnej pedagogiki opracował schemat nauczania stosowany właśnie w szkole puławskiej, a także w trzech innych szkołach podstawowych (w Warszawie, Olsztynie i Pomiechówku k. Warszawy). Rozumie się oczywiście, że ogólna reforma szkolnictwa stanowi aktywność zarówno dla tego eksperymentu, jak i dla wielu podobnych przedsięwzięć w naszym kraju.

Eksperymentem Fleminga objęto w szkole puławskiej wszystkie przedmioty i wszystkie poziomy nauczania, aczkolwiek nie wszystkie klasy równoległe i nie wszystkie lekcje danego przedmiotu w określonej klasie. I słusznie. Dzięki temu bowiem można z miejsca wlestronnie porównywać wyniki nauczania eksperymentalnego z efektami nauczania tradycyjnego, co w początkowej fazie reformy szkolnictwa wydaje się ważne dla weryfikacji nowych ustaleń. Czasem jednak owe porównania mogą dać rezultat względny, skoro, jak się rzekło, pewne zasady eksperymentu modernizują kształt lekcji tradycyjnych. Ale to już drobiazgi, wadliwie pozytywne.

Do czego sprowadza się eksperyment? W dużym stopniu ograniczono tradycyjne „podające” metody nauczania, oparte o wykład lub pracę z podręcznikiem — na rzecz metody problemowej. Lekcja eksperymentalna, która m.in. realizuje tę metodę, wychodzi od stworzenia tzw. sytuacji problemowej — pedagog zamysławia uczniom na te wiadomości, jakie już zdobyli, ich brak wiedzy w pewnej dziedzinie (z zakresu treści nauczania) oraz inspiruje do tego, by sami sformułowali główny problem lekcji. Uczniowie z kolei, kierowani oczywiście przez nauczyciela, przystępują do tzw. programowania treści (motywu w zasadzie nieco wykraczającego poza metodę problemową, acz ściśle z nią związanej) — „dzielenie” problemu centralnego na kilka kwestii szczegółowych. Etap trzeci — uczniowie rozwiązują zagadnienia szczegółowe. Kontrola ma miejsce po każdym jednostkowym rozwiązaniu. W krajach zachodnich funkcję kontrolera sprawują maszyny, u nas — nauczyciel. Final — to integracja wyników cząstkowych i rozstrzygnięcie głównego problemu przez uczniów.

Uczenie się jest kwestią zajęć w klasie, praca domowa tylko pogłębia i utrwalia wiadomości zdobyte podczas lekcji. Istotnym elementem organizacyjnym w pracy klasy jest łączenie pracy indywidualnej i zbiorowej z pracą

grupową, która m. in. wprowadza ważny czynnik społecznej kontroli i rywalizacji (wszystkie grupy rozwiązują ten sam problem szczegółowy). Ale o tym, że ów nieco skomplikowany schemat lekcji można praktycznie realizować, że uczniowie potrafią mu sprostać, zdecydowało jeszcze coś innego, moment zupełnie podstawowy w takim eksperymencie — różnego rodzaju „empiryczne” pomoce naukowe, a głównie a audio-wizualne środki nauczania, skupione w obrębie pracowni przedmiotowych (lub klasopracowni), gdzie odbywają się lekcje. Tak więc ograniczenie metod „podających” znajduje tu swoją kontynuację w leniowym zapamiętaniu i eliminowaniu werbalnych środków nauczania.

Kwestia organizacji bogato wyposażonych i odpowiednio urządzonych pracowni staje się w szkole wyjątkowo doniosła, gdy idzie o przedmioty humanistyczne, bo dyscypliny matematyczno-przyrodnicze i tak zawsze były w tym względzie wygrane.

Mam możliwość rozejrzenia się w zasobach pracowni polonistycznej klas starszych. Rozmawiam tu z nauczycielką (która prowadziła lekcję-proces), jedną z trzech polonistek szkoły, Barbarą Miluską — gorącą zwolenniczką i propagatorką eksperymentu. Wyciąga z szaf, zdejmując ze ścian całą masę rekwiizytów, opowiada o ich charakterze i stosowaniu. Odnotowuje to wszystko „jak leci”, z satysfakcją dostrzegając autentyczny zapal mojej rozmówczyni, żywo krzątającej się po swoim królestwie.

Wyposażenie jest różnorodne. Więc przykładowo tylko. Adapter i spory zasób płyt z nagraniami utworów poetyckich oraz muzyki ludowej, kameralnej i symfonicznej. Magneofon, który służy m. in. do nagrywania recytacji uczniowskich na odpowiednim ście muzycznym. W ogóle muzyka i żywy język występują podczas zajęć najeźźliwie łącznie, zamysławiając dzieciom koloryt emocjonalny słów poetyckiego. Literaturę zresztą ilustruje się także zdjęciami (tu rola episkopu), reprodukcjami (np. „Pierwsza przechadzka” Staffa

zestawiona z widokiem zniszczonej Warszawy), makietami i modelami (np. „Giezieńko”, o którym mówi się w „Trenach”, znajduje swój odpowiednik w miniaturze tego stroiku przypletę na tablicy). Wzbudzenie doznań zmysłowych oraz poruszenie wyobraźni i uczucie jest więc zasadniczym gruntem analizy tekstu literackiego.

Magnefoton i plansze to b. istotny środek również w nauczaniu gramatyki i stylu — można wyrysować słakę związków znaczeniowych; można nagrać fragment języka potocznego i zestawić go z językiem literackim.

O różnorodności albumów, słowników, plansz, tezek z wycinkami gazetowymi już nie wspominać.

Lekcja eksperymentalna, wielokrotnie korzystająca z bogactwa środków nauczania, wywołuje zaciekawienie u dzieci (element ludyczny, sytuacja problemowa), angażuje całą ich osobowość, dzięki czemu pobudza je do aktywnej pracy i, w związku z tym, kształtuje nawyk samodzielnego myślenia, wyciągania trafnych wniosków, a także logicznego formułowania — prawidłowej werbalizacji — swoich spostrzeżeń (w czym rola polonisty szczególnie).

Szkoła puławska uczy myśleć i mówić — w najistotniejszym tych wyrazów znaczeniu! Takie są właśnie cele omawianego eksperymentu.

Trzeba powiedzieć — nareszcie! W tym miejscu przekonała moja dusza podsuwała mi refleksje melancholijne nieco a filozoficzne. Jak by tu zrobić, żebyśmy przedsięwzięcie zwykłych i całkowie wymagalnych nie uznawali za definitywnie nadzwyczajne, podziwu godne i wyjątkowych trudów się domagające lecz realizowali je w trybie powszednim? Gdy zyletki nasze gołą (?) nocniki nasze nie ciekną, dozorczy nasi uprzążają zaspę (?), to my tym zyletkom i nocnikom nadajemy znak najwyższej jakości, a dozorcóm tytuły zasłużonych przodowników pracy (bo trudno pojąć, że w

zime spadnie śnieg). Czy trzeba było aż reformy szkolnictwa, fall eksperymentów i szumu w prasie, aby przestano u nas edukować metodami zeszłego stulecia? — Ale zaniechałem tego wątku, bo raz, że sam robię szum, a dwa, że winni tu oczywiście nie są eksperymetatorzy, tylko sytuacja w narodzie.

Ci pierwsi natomiast mogą mówić o sukcesie, aczkolwiek w omawianym wypadku praca trwała właściwie rok (poprzednie dwa lata w dużej mierze zajęły przygotowanie bazy materialnej i szkolenie). Charakter artykułu nie zezwala na wnioski sumujące całokształt rezultat pracy puławskiej placówki. Warto však powiedzieć jedno — stwierdził tam wiele razy, że zdolniejsze klasy kontrolne (uczone tradycyjnie) osiągały gorsze wyniki nauczania od mniej zdolnych równoległych klas eksperymentalnych!

Eksperyment puławski wkroczy do szkół podstawowych całego powiatu. Z oczywistych względów powinien trafić do szkolnictwa średniego. Jestem spokojny o skutek takich posunięć, nawet gdyby nauczanie problemowe, operujące wąskimi dawkami treści, skupione wokół procesu uczenia się, początkowo utrudniało pełną realizację materialnych założeń programów Ministerstwa Oświaty (kierownik szkoły, Witold Chmielewski, osoba „z urzędu” najlepiej zorientowana w całokształcie pracy swojej placówki, twierdzi, iż jest to zupełnie możliwe). Rozwiązanie tej trudności widzę w ekonomicznym i elastycznym wykorzystaniu czasu, jaki przeznaczono dla nauki szkolnej. Nauczanie oparte o sztywny podział na 45-minutowe lekcje zdaje się w świetle założeń eksperymentu czymś anachronicznym i zgola przeszkadzającym.

Są także inne — poważniejsze — trudności, ale o tym warto napisać osobno wypracowanie na temat „Blaski i nędze żywota nauczyciela — eksperymetatora”.

JANCZYKOWSKI

PROFESORA Kazimierza Janczykowskiego zna cały Chelm. Jest sylwetką od kilkudziesięciu lat charakterystyczną dla tego miasta. Podobnych mu ludzi spotyka się dzisiaj rzadko, może jeszcze gdzieś

w krakowskich kawiarniach, zaś najczęściej czyta się o nich we wspomnieniach przedstawiających środowiska warszawskie czy krakowskie z początków stulecia. Prof. Janczykowski pasowałby jak ułaj do szlachetnej galerii owych niecodziennych, z kręgu lampy naftowej

MIROSLAW DERECKI

postaci, gdyby nie fakt, że żyje w czasach dzisiejszych, cieszy się nie najgorszym zdrowiem i pomimo swoich osiemdziesięciu lat nadal aktywnie pracuje. Po długoletniej działalności nauczycielskiej prowadzi obecnie chelmskie muzeum. Nauczycielskiej renty emerytalnej nie otrzymuje bo... nie chciał jej przyjąć. Jest wszak kierownikiem Muzeum Ziemi Chelmskiej — zmienił tylko rodzaj pracy. W zabytkowym domku — w pobliżu Gimnazjum im. Czarnieckiego — w wielkim pokoju zawalonym starymi ksiązkami śleczy nad sprawami placówki, którą zakładał jeszcze jako zupełnie młody nauczyciel. Wówczas zbory muzealne łatwo mieściły się w niewielkim gimnazjalnym pokoiku, dzisiaj muzeum stoi w przededniu przeniesienia się do własnego budynku.

Zawieszony sowy wąs, wygolona głowa, zwalista sylwetka — Janczykowski więcej przypomina starego szlachana niż bylego „belfra”. W dodatku młodość niespokojna, w dodatku zdolności gawędziarskie — żywy, barwny język, opowieści potoczyste, pełne humoru... Geograf i nauczyciel gimnastyki z wykształcenia, historyk z powołania, gawędziarz z urodzenia. Oto nauczyciel „starej daty”. Co na to jego następcy?

Zdanie, że Kazimierza Janczykowskiego zna cały Chelm, to nie dziennikarska kokieteria. Wystarczy zaadresować do Chelma list tylko jego nazwiskiem — a dojdzie. Dość zapytać w Chelmie o adres — każdy wskaże drogę.

Uczył zaczął w roku 1915. Po skończeniu Instytutu Gimnastycznego w Moskwie. Jak tam trafił z rodzinnego Lublina? Droga okreś-

(Dokończenie na str. 10)

Debiut

JOLANTA MEYNARCZYK

Jesteśmy na ulicach i mostach
czerpiemy wodę z zielonych studzien
nie pamiętamy łapanek
I możemy hodować pelargonie na oknach

Nasi rodzice
mówili nam o Hiroszimie
opowiadali też
o bóstwach i aniołach

Ale aniołowie nie muszą być z nami
I nie prosimy o plon siedmiokrotny
ani dobrego Boga chrześcijan
zawsze sytego Buddę
Dzeusa w meandrowym chitonie
ni smagłego Allaha

A tylko jedno uczynić bogowie
zabroście nam mierzyc maski przeciwigazowe

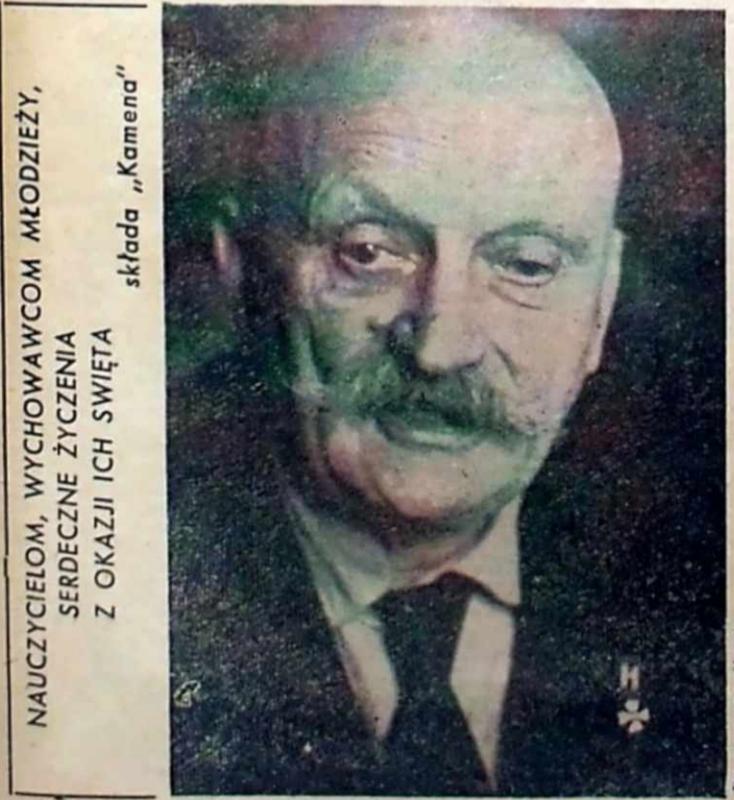
Robertowi

Chciałabym mówić do ciebie tak
żeby każde słowo stawało się ciałem
na przykład malwą albo jaskrem
Żeby było dla ciebie lykiem herbaty
haftem kurpiowskim
I lampą naftową w ciemnej leśniczówce
żebyś przed snem
kłał je pod głowę jak poduszkę
a na dzień dobry gładził jak małego kota

Alto moje słowa
sa tylko poprawne i ściwicznas
niby miedziane wisioriki
lub aluminiowe rendle

Jak mam takimi słowami wypowiedzieć nas dwoje

Puławy



NAUCZYCIOŁOM, WYCHOWAWCOM MŁODZIEŻY,
SERDECZNE ŻYCZENIA
Z OKAZJI ICH ŚWIĘTA
składa „Kamena”

Fot. Zdzisław Szlachetka

OPINIA TWORZY OPINIA NISZCZY

(Dokończenie ze str. 1)

Kultura techniczna na Białostocczyźnie nigdy nie była wysoka. O ile jednak kiedyś można się było bez niej obejść, o tyle teraz człowiek nie posiadający minimalnej choćby wiedzy technicznej jest prawie półanalfabeta, osobnikiem nie przystosowanym do materialnego otoczenia. Świadomość tych faktów także znalazła odbicie w programie Uniwersytetu, który w tym roku oświatowym rozpoczyna w środowisku robotniczym tzw. studia wiedzy technicznej.

Aktualnie UR prowadzi „Studium Kulturalne”, a niedługo wspólnie z Klubem MPK i Teatrem im. Węgielki uruchomi „Studium Wiedzy o Teatrze”.

Na koniec przypatrzmy się liczbom, które przejrzyste ilustrują potrzeby istnienia i rozmach białostockiego Uniwersytetu Robotniczego ZMS. W pierwszym roku działalności przekształcił on 200 osób, a w roku oświatowym 1968/69 już niemal 14 tysięcy, w ramach form stałych i tzw. wszechstronnych (przekształcające, cykliczne, pozadanki itp.), i jeszcze jednej: personelu etatowego Uniwersytetu składa się z kilku osób, które „urzędują” w dwóch niewielkich pokojach. Zajęcia szkolnolubowe i wszechstronne, prowadzone przez 150 wykładowców, odbywają się w salach wyposzczonych na różnych krańcach miasta i... województwa.

— Powodzenie każdej roboty zależy od sprawnej organizacji — powiedział mi zastępca dyrektora UR, Aleksander Seroka. — Zgoda, ale także od ludzkiej aktywności i znajomości potrzeb środowiska — dołdem.

Podane fakty nie wyczerpują zakresu form pracy Uniwersytetu Robotniczego w Białymstoku, niemniej jednak dają jakieś pojęcie o działaniu tej placówki, programowanym przez Związek Młodzieży Socjalistycznej, mówią dużo o kierunkach i dynamice zmian społecznych i kulturalnych, jakie zachodzą w tym województwie.

Wspomniałem już o krytycznych opiniach, które tu i ówdzie wypowiada się na temat Białostocczyzny. Ich podstawą jest sytuacja wczorajsza regionu oraz brak szerokiej informacji o jego dniu dzisiejszym. Informacji nie ukrywającej trudności, rzeczowej, lecz zarazem ukazującej to wszystko, co w minionych dwudziestu i kilku latach zmieniło na lepsze życie tych terenów.

Opinia tworzy ludzi, opinia niszczy ludzi. Jest zazwyczaj totalna, opiera się na zjawiskach łatwo dostępnych, nie dociera do źródeł takich czy innych ludzkich sytuacji,

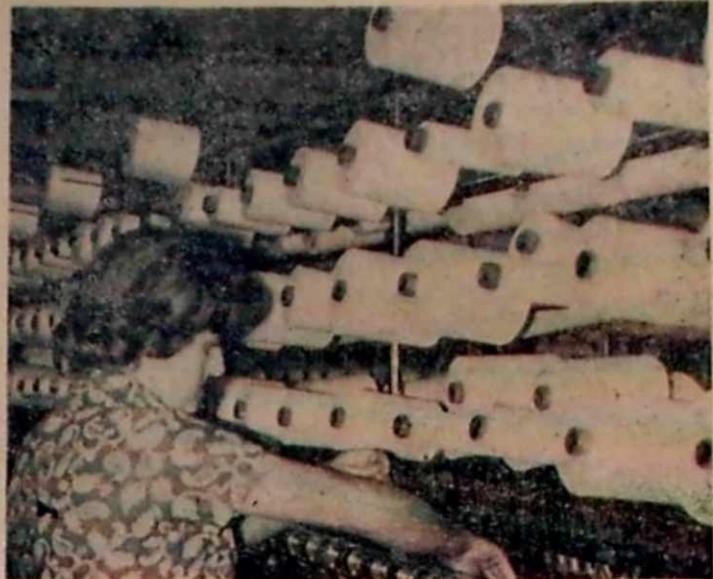
nie analizuje motywacji zachowań człowieka. Subtelności psychiki i ważne szczegóły jednostkowych biografii nikną w społecznym odczuciu na rzecz cechy znaczącej się w oczy, która jest zazwyczaj skutkiem a nie przyczyną. Najgorsze przy tym, że najbardziej długowieczne są opinie dotyczące zbiorowości ludzkich. Aby nie być głośliwym, przytoczę pewien bardzo wymowny przykład.

Niedawno w ośrodku ZMS w Borkach na Białostocczyźnie odbyło się dwutygodniowe spotkanie kilkudziesięciu studentów i absolwentów różnych krajowych uczelni, którzy albo piszą prace naukowe i dyplomowe tematycznie związane z tym województwem, albo są stypendystami białostockich jednostek administracyjnych i gospodarczych, podległych radom narodowym. Organizatorem tego spotkania przyszło wysłuchiwać niezwykle barwnych opowieści, które niewiele miały wspólnego z białostocką rzeczywistością.

Okazało się, że niedowiedzie w słomianych łapciach grasują nie tylko w ludowych baszalach, powielanych na użytek najmłodszych obywateli, ale także w wyobraźni wielu młodych ludzi — studentów, a więc poza a jakich świat. Oczywiście, niedowiedzie to tylko symbol, ale doskonale ilustrujący potoczną opinię o tym regionie kraju. Student — stypendysta nie wie, dzieli nie, albo prawie nie o Białostocczyźnie, o możliwościach zatrudnienia i indywidualnych perspektywach. Jakże istnieją w województwie dla młodych fachowców. Słaby przemysł, żłowa ziemia, egzotyczne obyczaje bliskie kulturze ludowej — oto oceny i fakty najmocniej tkwiące w świadomości studentów. Sład taki „prestiż”: pewien młody człowiek, bodaj z Niemalicy, studiujący w Warszawie, przedstawił w „Hybrydach” jakiejś pannie, wyraził się rodzinnego miasta — z obawy przed towarzyską dyskryminacją.

Niewątpliwie Białostocczyzna nie należy do województw najmniejszych pod względem gospodarczym, rolnictwo jej przeżywa niejedną trudność, zapewne i standard życia jest tu nieco niższy od tego, z jakim spotkać się można w Poznańskiem czy Gdańskiem. Niemniej jednak aktualna sytuacja regionu przekracza granice zakreślone przez stereotypowe wyobrażenia, rodem z międzywojennej Polski. Widąc więc jasno potrzebę szerszej informacji o województwie, albowiem, co się za chwilę okaże, nie chodzi w efekcie tylko o honor.

„Spotkanie z Białostocczyzną” było pierwszą, dopracowaną akcją propagandową wśród ludzi, których chce się tutaj ścigać, na których zależy władzom województwa. Idea spotkania powstała już 4 lata temu, lecz różne



Białystok — „Fasty”

Fot. Andrzej Polakowski

względny zmuszał do odkładania jej realizacji. W końcu przecież Prezydium WRN udało się wygospodarować 120 tys. zł z nadwyżek budżetowych, które zsumowane z wysiłkami i środkami zarządców wojewódzkich ZMS, ZMW, przy czynnej pomocy Białostockiego Towarzystwa Kultury i Towarzystwa Naukowego — dały w rezultacie wspomniane „Spotkanie”.

Podczas wielogodzinnych dyskusji okazało się m. in., że tylko w ubiegłym roku zakłady pracy i inne instytucje białostockie wysłały pod adresem wyższych uczelni 600 ofert stypendialnych, z czego podpisano zaledwie 100. Na domiar wszystkiego dwie trzecie stypendystów białostockich podjęło pracę nie u fundatorów, lecz w innych, bardziej „młodych”, silniejszych ekonomicznie województwach, z tym, że ten ostatni moment nie był decydujący. A więc co? O tym była już mowa: opinia, myślna opinia o regionie, której dotychczasowa — nieudolna i dorozna — informacja zmieniła nie mogła.

W czasie rzadkich spotkań fundatorów ze stypendystami, ci pierwsi niewiele mieli do powiedzenia, ograniczali się zazwyczaj do ogólników, trudno im było konkretnie odpowiadać na konkretne pytania dotyczące stanowisk pracy, możliwości uzyskania mieszkania itp. itd. A tymczasem przedstawiciele fundatorów z innych województw obok rzeczowości cechowali dużą wyobraźnią. Skutki... wymierne: na liczącą 1 300 000 ludności Białostocczyźnie, w 1964 r. tylko 5,5 tys. osób posiadało wyższe wykształcenie, co stanowiło 3,5 proc. ogółu zatrudnionych. W chwili obecnej liczba dyplomantów wzrosła do 7 tysięcy osób, lecz trzeba wiedzieć, że w 1970 r. potrzeby w tym zakresie

wzrosną do 11 tysięcy. Region oczekuje na wysoko kwalifikowanych fachowców, a oczekiwania te najlepiej ilustrują tempo jego rozwoju.

Wydaje się, że z rozmachem zorganizowane spotkanie da początek ściślejszym kontaktom władz i instytucji województwa z krajowymi uczelniami, co w efekcie może zmienić dotychczasową opinię o Białostocczyźnie. Najważniejsze przecież, aby w ślad za propagandowymi gestami poszły konkretne decyzje, ułatwiające młodym specjalistom start w obcym środowisku. Jeśli zakłady pódają śladem Białostockiego Zarządu Aptek, który — można to powiedzieć z czystym sumieniem — troszczy się o młodych fachowców, rzecz cała ma szansę rozwijać się zgodnie z pragnieniami.

Nieprzypadkowo jednym z organizatorów „Spotkania” był ZMS, albowiem posiada on duże doświadczenie w pracy oświatowej i wychowawczej w różnych środowiskach młodzieżowych. Działacze zetemesowscy zdają sobie przy tym sprawę, że samym importem nie rozwiążą się wszystkie problemy wchodzących w skład szeroko pojętej kultury białostockiej. Owszem, zastrzyk młodej inteligencji z zewnątrz jest pożądany, a nawet konieczny, ale tronem każdego działania o wymiarze społecznym będą ci ludzie, którzy teraz mieszkają, ucząc się lub pracując, na Białostocczyźnie. Stąd chyba bierze się rzadka aktywność wspomnianego na początku Uniwersytetu Robotniczego ZMS.

Ireneusz J. Kamiński

ARNOLD SŁUCKI

Z podróży do Azji

In blanco

Siedział,
mosiężne powieki
przykrywały jego myśli,
których nie zdradzała mimika.
Mnich puszcał w powietrzu
boskie czeki
in blanco
na pewno
i strach.
Buddowie
operowali się w klinicach.

Dama z Uruk*)

Dama z Uruk
otwiera brwi,
za muru
kamicznego czoła
wstaje,
piękno nas
szuka
w idolach,
sztuka
zatrząskuje drzwi.

*) sumeryjska rzeźba, prawdopodobnie maska kapłanki z końca III stulecia p.n.e., znaleziona na gruzach miasta Uruk.

W Qumran

Chyba
zmarłychwstał tu
jakiś Esecńczyk,
skoro
prochy słyszę
myślące,
spadanie
słów obręczy,
łomot
słódeca,
niby tablicy Stu Pytań.

A CO Z POSTĘPEM PEDAGOGICZNYM?

(Dokończenie ze str. 1)

Alie socjalizm, przewyższając indywidualne posiadanie środków produkcji jako cel życia ludzkiego, stworzył swoje własne wartości. Jedną z tych wartości, szczególnie istotną dla wychowania, jest wszechstronny rozwój osobowości ludzkiej. Wyzwolony od nieuski i wyzysku, wolny od chęci posiadania fabryk i wielkich obszarów ziemi człowiek epoki socjalizmu może zgodnie z własnymi zamiłowaniem wybierać sobie pracę oraz zajmować się nauką, sztuką czy techniką. Przy tym zarówno stopień swobody w wyborze tych wartości, jak i społeczna ocena człowieka zależy od tego, jaki poziom rozwoju sam osiągnął, jak więc mu w tym pomógł wychowanie, które odebrał od społeczeństwa.

Postęp pedagogiczny można rozumieć jako ogół działań sprzyjających bezpośrednio lub pośrednio wszechstronnemu rozwojowi ludzi. Ponieważ pojęcie wszechstronnego rozwoju nie jest jednak ściśle zdefiniowane, można postęp pedagogiczny rozumieć również jako ogół działań zwiększających skuteczność oddziaływania pedagogicznego, pamiętając wszakże, iż to oddziaływanie ma być podporządkowane zasadzie humanizmu socjalistycznego.

O wzorach osobowych, które ma realizować wychowanie socjalistyczne, wiele pisał pedagogowie i moralści. Stosownie podkreślają oni, że elementy składowe tych wzorów nie mogą się ograniczać do samego stosunku do pracy i własności społecznej. Wszelkoniem rozwinięta osobowość to człowiek o bogatym życiu duchowym, ale zarazem to człowiek idealowo zaangażowany po stronie socjalizmu, odpowiedzialny za to, co się mieści w kręgu jego własnego oddziaływania. To zarazem człowiek twórczy, nie zaś ledwo działający się tym, co zastał, lecz wzbogacający rzeczywistość własnymi działaniami i własnym mózgiem.

Wpływ na realizację tych wzorów osobowych wywierają różne czyn-

nik. Im też przynależą trzeba decydującą rolę w szerzeniu postępu pedagogicznego. Do tych czynników zaliczamy przede wszystkim wzrost kwalifikacji i prestiżu społecznego nauczycieli, systematyczne podnoszenie się wyników nauczania i wychowania we wszystkich szkołach, rozwój nauk pedagogicznych i rosnący ich wpływ na system oświaty i wychowania, zmiany polityki oświatowej, a zwłaszcza dalsze doskonalenie ustroju szkolnego i programów szkolnych, dalszy wzrost środków na oświatę, na budowę i wyposażenie szkół oraz innych placówek oświatowo-wychowawczych.

Należy zdawać sobie sprawę z tego, że nie wymieniono tu wszystkich czynników, chodziło bowiem o zwrócenie uwagi na sprawy najważniejsze. Wiadomo również, że i czynniki wymienione mogą rozwijać się nierównomiernie, wówczas trzeba więc mówić o postępie częściowym, t. j. o postępie pedagogicznym w takiej a takiej dziedzinie. Ale i ten postęp jest zawsze postępowaniem w stosunku do pewnego układu odniesienia. W tym świetle pewne osiągnięcia może być tylko z pozoru postępowaniem, może być postępowaniem w skali jednego kraju lub postępowaniem w stosunku do innych krajów mniej lub więcej zaawansowanych w rozwoju.

Rozpatrując problem możliwości i warunków postępu pedagogicznego z klasowego punktu widzenia trzeba przede wszystkim stwierdzić, że najistotniejszym — pod względem jakościowym — elementem postępu pedagogicznego jest zniesienie przywilejów oświatowych wynikających z przynależności do określonej klasy lub warstwy społecznej. W parze z tym idzie coraz to większe zapotrzebowanie na ludzi wszechstronnie rozwiniętych, a zarazem wszechstronnie przygotowanych do odpowiedzialnego pełnienia różnych funkcji społecznych — w produkcji, w działaniu usług, w dziedzinie nauki, sztuki i życia społecznego.

Alie choć postęp pedagogiczny dotyczy bezpośrednio lub pośrednio wszystkich obywateli, podobnie jak postęp ekonomiczny lub techniczny, nie jest on w równym stopniu zależny od poszczególnych obywateli. Jego siła napędowa nie są też potrzeby jednostki, lecz potrzeby klas, warstw i grup społecznych, w ob-

rebie których poszczególne jednostki egzystują. Jeśli więc chodzi o szerzenie postępu pedagogicznego, sytuacja w krajach socjalistycznych jest znacznie korzystniejsza niż w kapitalistycznych. O ile bowiem w tych ostatnich, obok siły postępu istnieją siły stabilizacji i siły antypostępowe, o tyle ustrój socjalistyczny jako z natury rzeczy postępowy nie sprzyja powstawaniu bądź umacnianiu się wpływów zachowawczych czy reakcyjnych.

Wszakże i w krajach socjalistycznych postęp pedagogiczny dokonuje się głównie poprzez działanie przedstawicieli klas, warstw i grup społecznych sprawujących władzę lub władzę tę wsiarających, tu też trzeba szukać głównych źródeł wpływu na ów postęp.

Z tego też względu w dyskusji nad postępowaniem pedagogicznym sprawy polityki oświatowej wysuwają się na pierwsze miejsce, od ich rozstrzygnięcia zależy bowiem szereg innych wspomnianych wyżej spraw. Było poniekąd rzeczą zrozumiałą, że sprawy te w pierwszych latach budownictwa socjalistycznego znalazły się na dalszym planie — wobec konieczności odbudowy kraju i zwłaszcza szybkiej rozbudowy przemysłu. Wydaje się, że jednak obecnie — za przykładem innych krajów socjalistycznych — i nasze czynniki odpowiedzialne za politykę oświatową zwracają już większą uwagę na te problemy i można spodziewać się, że sprawy postępu w dziedzinie oświaty i wychowania zostaną postawione na tej samej płaszczyźnie, co sprawy postępu technicznego. Wymagać to będzie zmiany proporcji w hierarchii spraw państwowych, jak również zmiany proporcji — choćby niewielkiej — w podziale dochodu narodowego. Każdy rok obrótlenia w likwidowaniu dysproporcji między postępowaniem ekonomicznym i technicznym a postępowaniem pedagogicznym cofa nas w rozwoju w stosunku do tych liczących krajów, które z tej przyczyny wcześniej od nas uczyniły poważne działania.

Mówiąc o wielu złożonych sprawach polityki oświatowej trzeba stale zwracać uwagę na dalszą po-

prawę warunków bytu nauczycieli. Pozwoli to stosować wobec nich większe wymagania, ułatwi też pozyskiwanie do zawodu nauczycielskiego utalentowanej młodzieży obojga płci.

Drugim ważnym zadaniem polityki oświatowej jest opracowanie ustrojowych założeń tej polityki. Jak wiadomo, we wszystkich dziedzinach naszego życia obowiązują dziś planowanie, przy czym ostatnio opracowywane plany rozwoju sięgają do roku 1985, nie się natomiast nie słyszy o planach dotyczących naszego ustroju szkolnego. Tymczasem wiadomo, że realizowana obecnie reforma szkolna nie rozwiązała pewnych spraw, hamujących obecnie nasz postęp pedagogiczny. Przede wszystkim więc pozostała bez zmiany pierwszy szczebel nauczania, odbiegający daleko od tego, co się dziś w świecie w nauczaniu początkowym dzieje. Po drugie obecna reforma szkolna nie rozwiązała sprawy zróżnicowania na trzecim szczeblu szkoły, wskutek czego ponad 50 proc. absolwentów liceum ogólnokształcącego nie uzyskały prawa wstępu na wyższe uczelnie doznaje tyle zawodów i rozczarowań.

Jednym z ważnych zadań polityki oświatowej jest stworzenie odpowiednich warunków rozwoju dla nauk pedagogicznych. Wiadomo, że ta dziedzina naszego życia nie posiada odpowiedniego zaplecza naukowego, co obciąża konto zlikwidowanego już Ministerstwa Oświaty i właśnie połączenie Ministerstwa Oświaty oraz Szkolnictwa Wyższego stwarza perspektywę stosunkowo szybkiego odrobienia zaległości w tej dziedzinie.

Wiadomo jednocześnie, że idea tworzenia szerokiego zaplecza naukowego badawczego wspierającego praktyczną działalność placówek oraz instytucji wychowawczo-oświatowych, spotyka się dziś we wszystkich krajach z powszechnym zrozumieniem. Świadczy o tym nie tylko stały postęp w rozwoju nauk o wychowaniu i pedagogice, lecz także ogromny rozwój instytucji naukowo-badawczych. Szczególnie szybkie tempo tego rozwoju daje się zauważyć w ciągu ostatnich 20 lat. I tak np. w Związku Radzieckim utworzono w roku 1943 Akademię Nauk Pedagogicznych z paroma instytutami, a obecnie obejmująca kilkanaście instytutów naukowo-badawczych. Do tego należy doliczyć instytuty w poszczególnych republikach oraz wiele pomniejszych instytucji.

W innych krajach socjalistycznych ośrodki badań naukowych w dziedzinie oświaty są systematycznie rozwijane.

I tak np. w Niemieckiej Republice Demokratycznej istnieje obecna instytucja, obejmująca łącznie około 500 pracowników, kilkoma instytutami naukowymi dysponuje również Czechosłowacja.

Jest niewątpliwie, że w każdej dziedzinie zorganizowanej działalności człowieka szerzenie postępu wymaga pewnych nakładów finansowych, ekonomisci twierdzą przy tym, że jest to najlepsza i najpewniejsza z inwestycji. Te zwiększone nakłady należy przewidywać nie tylko na rozwój nauk pedagogicznych, lecz także na nowoczesne budownictwo szkolne i na wyposażenie szkół. Obok tego pewne nakłady muszą być obrócone na rozwój szerokiego ruchu racjonalizatorskiego i nowatorskiego wśród nauczycieli.

Przed kilku laty rzucano w Warszawie projekt, by na wzór Funduszu Postępu Technicznego, którego proporcjonalną do potrzeb częśćką dysponuje każdy większy zakład przemysłowy, utworzyć Fundusz Postępu Pedagogicznego do dyspozycji Stolecznego Kustarium Odkrycia Szkolnego, Kuratorium 10, a w ślad za nim kuratoria a katowickie i porańskie, wyzysparowały na początek ze swego budżetu stosunkowo niewielkie sumy, które rozdziela się corocznie między kilkudziesięciu wytypowanych przez kierownictwa szkół i inspektoraty oświaty nauczycieli-nowatorów. Przedstawiciele brak jednak dotychczas podzielić prawnych, a co za tym idzie, dotacji z Ministerstwa Finansów.

Odpowiadający potrzebom Funduszu Postępu Pedagogicznego, służyłby nie tylko do nagradzania nauczycieli, którzy wykonali już pozytywne dla postępu prace, ale poprzez zasiłki, zaliczki i stypendia mogłyby pobudzać wahających się — nie posiadających środków do realizacji, niezbędnych do realizacji — do podjęcia nowych inicjatyw. Wystawy (np. wystawy postępu pedagogicznego w Poznaniu, w Szczecinie, Zielonej Górze), biuletyny, sympozja naukowej, potrzebne, by ruch nauczycielwski nie pozostał w opłotkach, także wymagają sporych nakładów pieniężnych. Staraniem, by nauczyciele uzyskali swój Fundusz Postępu, patronuje idea tak wzniosła, jak postulata prof. Tadeusza Kotarbińskiego, by zawód nauczycielski traktować jako zawód produkcyjny. Wszak wykształcony człowiek jest nieocenionym i ze wszech miar w pełniście socjalistycznym potrzebny „produktem”, w dodatku „produktem” odpowiedzialnym za wszelką inną produkcję.

Wincenty Okoń

Słowo, które przenosi góry

ANATOL STERN

NAJWYBITNIEJSZE zjawisko w literaturze radzieckiej?... Nie, nie wyobrażam sobie, aby można było to odpowiedzieć.

Oczywiście twój Dajmonion odpowiada ci od razu szereg nazwisk... Ten szereg jest tak długi, że rozsądek każe ci zawęzić temat i ograniczyć się tylko do poezji. „Jako poeta, masz do tego prawo — masz do tego prawo jako badacz tego właśnie słowa” — kuszą cię twój duch opiekuńczy.

Zgoda. Po krótkim wahananiu się, ustępujesz. Twoja sytuacja jednak mało się przez to polepsza. Wszystko każe ci odpowiedzieć jednym słowem: Majakowski. Niewątpliwy

geniusz, niewątpliwy twórca epoki poetyckiej. Co czyni jednak z geniuszami, „którzy inaczej się mierzą”? Co czyni z Chlebnikowem i jego magią słowa? Z Borysem Pasternakiem i szalonym, autonomicznym światem jego metaforycznej wizji poetyckiej? Z jakąś się, jak kobiety Mojżesz, Cwietajewą ze zwierzęcym i ludzkim szlochom Jesienina? Z zamykającą świat w niedostrzegalnych dla nikogo, prócz niej, odruchach i inwentaryzującą niedostrzegalne refleksy Achmatową?

Wystarczy. Dość już tych nazwisk. Nazwisk wielkich i małych geniuszów. A jest to zaledwie początek.

A więc — najwybitniejsze zjawisko literatury radzieckiej, poezji radzieckiej?

Sądzę, że zagadnienie polega na czym innym. Sądzę, że należałoby wyjaśnić (sobie i innym), na czym polega szczególna odrębność liryki radzieckiej. Niestety, i ta sprawa jest nad wyraz skomplikowana.

Wracam do Majakowskiego — poety, którego wiersze pierwszy przełożyłem w Polsce przed wieloma, wieloma laty („Poi”, „Sędziowie”, cz. I „Obłoku w spodniach”). Ileż lat strawiłem na badanie jego nowej, intonacyjnej poetyki! Ile stron poświęciłem na to choćby w swej „Poezji zbuntowanej”. Nie dość na tym: starałem się wyodrębnić mu tajemnicę stworzonej przez niego nowej rzeczywistości poetyckiej

w rozmowach z jego najbliższymi przyjaciółmi, z jego upartymi analitykami. Szklowski powiedział mi: „Epopeja i język ulicy”. Erenburg: „Kolumb zabity przez jamby”. Burlik: „Poeta ludu, zbuntowany przeciwko magii symbolistów”. Zaś najgłębszy znawca symbolizmu rosyjskiego, M. Orłow, na pytanie moje, w czym kryje się geniusz tego poety, odrzekł mi po prostu: „Nie wiem. Nie był zbyt odcytany, nie był zbyt wykształcony... Był obdarzony geniuszem przez przyrodę”.

Kto wie, czy nie miał racji, rezygnując z wszelkiej analizy, skoro ta analiza — nawet takich znakomitych badaczy jak Piercow, jak Papierny — nie rozwiązała w końcu zagadki.

Zagadki geniuszu Majakowskiego? Nie, także innych, pomniejszych geniuszów liryki radzieckiej.

Czy oznacza to, że należy zrezygnować z dalszych badań? Oczywiście, że nie.

Cóż więc w końcu sądzę o poezji radzieckiej, co sądzę o jej odrębności? Myślę, że odpowiedzi należy szukać, wyciągając wnioski z badań słynnego radzieckiego „Opoju”, Towarzystwa badań języka poetyckiego. Wówczas to z prac Szklowskiego, Tylianowa, Zyrmuńskiego, Brika narodził się po wielu latach strukturalizm. Strukturalizm lingwistyczny Romana Jakobsona jest

bowiem twórczą syntezą tych prac i zastosowaniem formuł matematycznych do tych pierwszych objaśnień wyobraźni, karmiących analityczną myśl „opojawców”. Po orficznie symbolistów rosyjskich: Biełego, Bloka, Sologubę — nastąpiła reakcja konstruktywistów *avant la lettre*, poprzedników krytyków, poetów i artystów „Lefu”. Miejsce płomiennej liry Orlewsza zajął czarny kwadrat Maiewicza. Nie znaczy to jednak, aby marzenie o zapewnieniu nad materią dzięki mistycznemu Logosowi zmikoło z matematycznych formuł ówczesnych i późniejszych strukturalistów.

I tu zbliżam się do najważniejszego — do odpowiedzi, jakie cechy różnią poezję radziecką (a może nawet właściwie będzie odpowiedź — rosyjską) od poezji innych narodów.

Tą cechą jest niezłomna wiara w twórczą siłę słowa. Wiara w nośność społeczną słowa. Słowo stało się bazą pierwszego państwa socjalistycznego na świecie, słowo walczy o prawdę — i stąd płynnie ten hipnotyczny dreszcz, jaki budzi słowo w Związku Radzieckim, a jakiego wielu poetów może Rosjanom pozazdrościć.

Najwybitniejszym zjawiskiem w pięćdziesięcioletniej literaturze radzieckiej jest — Słowo. Słowo, które przenosi góry i każe drzeć sercom.

Wierna prawdzie i człowiekowi

IRENA DOWGIELEWICZ

PRZETRZĄSAJĄC swoją wiedzę o literaturze radzieckiej, wertując na nowo posiadane w domu książki, w ramach burzliwych wewnętrznych konfrontacji pomyślałam z zadręczeniem o niewinnym dziele, które na zapytanie dobrej cioci, kogo więcej kocha, tatusia czy mamusia, może odpowiedzieć: — Jednako. Ja nie mogę. A więc: „Konarmia” Babela. Dalej zajmę się również „Konarmią”, chociaż istnieją trzy wierzchołki trójkąta, które można by bez kłopotów z poziomicyą połączyć: „Konarmia”, „Cichy Don” i Tolstoj „Droga przez mękę”.

Pisarstwo Babela zostało zrodzone i ukształtowane bezpośrednio przez rewolucję. Oczywiście Babel pisarzem się urodził, ale wielu urodzonych pisarzy sżyje buty albo prowadzi księgowość w przedsiębiorstwie budowlanym. Do szesnastego roku życia przyszły autor „Konarmii” spekulował talmudycznymi mądrościami i wchłaniał w siebie tyle poezji, okrucieństwa i jednego obrazowania, ile zawiera Biblia. Przed ukończeniem lat trzydziestu był już autorem „Konarmii”, „Opowieści odeskich”, „Historii mojego gołębnika” i „Zmierzechu”. Książki ukazywały się jedna po drugiej począwszy od 1923 roku. Przez siedem lat młody pisarz niczego nie wydawał: walczył w armii Budionnego, na in-

nych frontach rewolucji i walczył o jasne, plastyczne, jedyne słowo.

Erenburg w swoich wspomnieniach cytuje wyjątki z dziennika Babela pisanego w wojsku w roku 20. Notatki nie są przeznaczone do druku, mają pomnąć pamięci, wywołać na nowo widziany obraz, przypomnieć zaistniałe zdarzenia. Sprawiają wrażenie, że bardziej niż niebezpieczeństwo wojny Babel bał się utracenia czegośkolwiek z jej przerażającej ekspozycji.

Pisarz żyje, patrzy, dostrzega, szuka w niezmiernym trudzie właściwych nazwań, selekcjonuje piętrzące się obrazy, tak żeby prawda obserwacji stała się także prawdą artystyczną. Świadome zamierzenie wspomaga intuicja. Tak powstaje dzieło jedyne, takie, które można próbować naśladować, ale którego nie można powtórzyć, bowiem jego czas był jedyny i niepowtarzalny.

Oto ludzie z chat zawieszonych ikonami, wychowani w patriarchalnym podporządkowaniu woli ojca rodziny, dobroduśni i ciemni, okrutni jak dzieci i ofiarni jak święci stanęli w obliczu trudnych do ogarnięcia przemian, których wielkość, jeżeli nie została zrozumiana, została odczuta. Stąd fanatyczne oddanie sprawie wojny i rewolucji, stąd cała straszliwa i wspaniała prawda zdarzeń opowiedzianych przez Babela.

Oto dowódca pułku Szewielew umiera na sanitarnej bledce. Lowka, woźnica, wlewa mu barszcz w tężejącą usta. U nog czuwa żona. Lowka ciągnie kobietę w krzaki. *Rzucicie się — wymamrotał Szewielew — a tamci już pewno popędzili kota czternastej dupczki...* Takimi osobliwymi słowami żegna Szewielew życie, a jednak...: *Przechodniu, powiedz Sparcie...*

Szwadronowy Trunow morduje wziętych do niewoli domniepanych oficerów — nadlatują samoloty majora Faunterloy’a, Trunow przekazuje *(mając paść dzisiejszego dnia)* dowódzenie plutonowemu, buty kaemistom, pouczając o tym, że są nowe i należy je szanować, po czym wysuwa się z lasu, żeby dosięgnąć z karabinu maszynowego atakujące maszyny. Maszyny dosięgają Trunowa.

Babel relacjonuje zdarzenia beznamiętnie, mówi o nich jak przywykliśmy mówić o rzeczach zwyczajnych, skąpi słów, pozostawiając tylko takie, których nie można zamienić żadnym innym.

Syn pisze do matki, poleca ją opiece boskiej, zachowuje wszelkie tradycyjne zwroty, załącza litanie pokłonów dla krewnych, chrestnych i kumotów, troszczy się o nogi klaczy Stioпки i o lokalizację mydła potrzebnego do ich smarowania, po-

wiadamiając jednocześnie, że tata, który służył u białych zarządną swojego wziętego do niewoli syna Fiedię, ale potem, kiedy sam trafił w ręce pozostałych synów służących w Konarmii, został przez jednego z nich po sprawiedliwości zarżnięty. Autor listu nie może podać szczegółów zdarzenia, ponieważ akurat wysłali go ze dworu.

Jeżeli uświadomimy sobie, że synowie tych ludzi latają w Kosmos rozumiejąc pewność i spokój narracji Babela. Tego, oczywiście, nie mogli przewidzieć, ale jego wiara w rewolucję nie wymagała utwierdzenia w jakimkolwiek tonowaniu czy przemalowywaniu przerażających zdarzeń.

Na wielkość „Konarmii” składa się nie tylko mistrzowskie opanowanie rzemiosła, niespotykana zwiększość, plastyka i precyzja narracji, ale przede wszystkim prawda — skrupulatne przestrzeganie prawdy przekazywanego obrazu.

Krótkie opowiadania Babela są jak garść żołędzi, z których każdy, gładki i o skończonym kształcie, może wyrosnąć w drzewo.

Są takie jak praca pług, który sunąc, odkłada szeroką skibę, zasypując powierzchnię, obnaża wnętrze, tworzy nową fakturę ziemi.

Ponieważ pisarz nie bywa analfabeta, nie może pracować w oderwaniu od tego co napisano przed nim. Nawet najbardziej oryginalna twórczość nie jest całkowicie niezależna od pracy pisarzy narodzonych wcześniej.

Bez względu na to czy Hemingway czytał Babela, czy nie czytał, to właśnie jego słowa dźwięczą w niektórych partiach „Komu

bije dzwon”. Nie wiemy także, czy „Cichy Don” byłby dokładnie taki jak jest, gdyby przed nim nie została napisana „Konarmia”.

A sam Babel? Erzmi to paradoksalnie, ale jego chłonność w przyjmowaniu drukowanego słowa zaspakajala do szesnastego roku życia Biblia, Biblia i „Konarmia”? Czemże by nie. Bez trudu można odnaleźć jej ślady w książce Babela.

Wydaje się, że także pisarze nie akceptujący surowego okrucieństwa „Konarmii”, nie godzący się na narzniętą metaforę jej opisów, nie zdołają się po niej przesłiznąć i jeżeli nie co innego, to chociażby protest przeciwko takiemu pisarstwu znajdziemy w ich książkach.

Jest to bowiem literatura zaangażowana, ale chodząca bezkompromisowo własnymi drogami. (Erenburg w pamiętnikach cytuje słowa Babela: *Kiedy trzeba iść na zebranie pisarzy, mam takie wrażenie, jak by mnie za chwilę czekała degustacja miodu z rycyną*.) uczciwa, pełna poczucia odpowiedzialności nie tylko za słowo, ale i za przecinek, ciekawa ludzkich doznań, czyhajaca na taką chwilę, nie tylko tylko król, ale i człowiek staje się nagi, wierna prawdzie, wierna człowiekowi, nie zamalowująca niczego, rzeźbiąca pełne wielowymiarowe postacie, dostrzegająca piękno, pomijająca piękności.

Użyłam określenia „wielowymiarowe” ponieważ postacie Babela miewają niekiedy trzy wymiary, bywają również dwu i czterowymiarowe — taki już jest sekret jego osobliwego warsztatu.

Wymienione przeze mnie na wstępie książki, pisane blisko pół wieku temu pozostały tak samo młode jak w latach, kiedy zostały wydane.

Wystawa Beksińskiego

MALARZ, grafik, rzeźbiarz, który równocześnie znalazł trwałe miejsce w nowoczesnej fotografii polskiej, artysta z uporem drążący ludzką psychikę, poddający wiwisekcji mroczną warstwę podświadomości człowieka, Zdzisław Beksiński wystawia właśnie swoje rysunki w salach lubelskiego BWA. Oczywiście sensacja, oczywiście najwięcej mówi się o tematyce rysunków. Erotyzm bowiem zawsze podniecał podlotki i starszych panów, a co dopiero erotyzm perwersyjny, bezwstydnie szczerzy i jawny, taki z jakim zetknęła nas twórczość sanockiego artysty. Obawiam się jednak, że jego rysunki nie zostały odczytane do końca, ogromne piersi kobiet-wszewchładnych samiec przesłoniły ważniejsze treści, trudne, być może, do uchwycenia w natłoku atrakcyjnych szczegółów anatomicznych i dwuznacznych sytuacji.

W pracach Beksińskiego dominuje człowiek. Dominuje w tym sensie, że jest głównym bohaterem wszystkich wydarzeń. Może nawet nie bohaterem, ale przedmiotem, elementem akcji. Jest torturowany, bity, przerażony. Sam torturuje, bije, przeraża. A wszystko to odbywa się w obwładniającej ciszy, bez gestów gwałtownych, emfaticznych. Oj, zwykła ludzka rzeczywistość, tyle, że obdarzona ogromnym wewnętrznym napięciem przez twórczą wyobraźnię.

Powiedziałem człowiek, ale to nie jest człowiek. To jest coś, może ktoś, kto jeszcze nie przestał być człowiekiem, a już nim nie jest. Antropomorficzna istota, która krepują freudowskie wizje: libido, popędu do władzy i samozniszczenia.

W pewnych wypadkach Beksiński zdaje się nie odkrywać nowych prawd o człowieku, to, o czym mówi, od dawna jest przedmiotem

psychoanalizy, tematem literatury z kręgu Dostojewskiego, czy Henry Millera, a prawdę powiedziałem — całej autentycznej literatury. Niektóre jego prace zawierają treści tak proste, znane, że aż banalne. Do nich należy rysunek przedstawiający kobietę — monstrum, niszczycielską samiec, na której udach ukrzyżowano małego, chudego mężczyznę. Równie czytelne i znane treści zawiera pląsacz z wielkim człowiekiem czyhającym na drugiego, lecz znacznie mniejszego; życie to podstępna walka, w której wygrywa silniejszy — zdaje się mówić Beksiński.

Nawet te dzieła Beksińskiego nie pozwalają przecieć przejść obok nich obojętnie. Zmuszają do uwagi, wciągają w swoją mroczną atmosferę. Bo mówią o prawdach znanych czy choćby przeczuwanych w sposób wstrząsający i nowy. I to właśnie stanowią sprawdzian ich wysokiej wartości artystycznej, a jednocześnie potwierdza, że sztuka od wieków obraca się wokół kilku tych samych podstawowych spraw człowieka.

„Portrety” Beksińskiego dzieła skomplikowane, już wieloznaczne. Głowy, jakby odarte ze skóry, ukazujące niby-ścigania i nieśnie twarze, równoległe sznury wypełniające kształt nosa. Zamiatacz oczu — czarne, podłużne otwory w kilku warstwach, prowadzące w ciemność. Pomiedzy oczami, na czole, i na brodzie otwory w kształcie krzyża greckiego. Czasami... dziurki do klucza. Wrażenie zmaszerek uzyskane poprzez nawarstwianie podłużnych pasów zamkniętych na haczyki. Ciele słów opasane liniami, w kagańcach. Pozbawione indywidualności, w potocznym rozumieniu tego słowa, pozwalają do niej dotrzeć po rozszyfrowaniu tych wszystkich znaków i symboli.

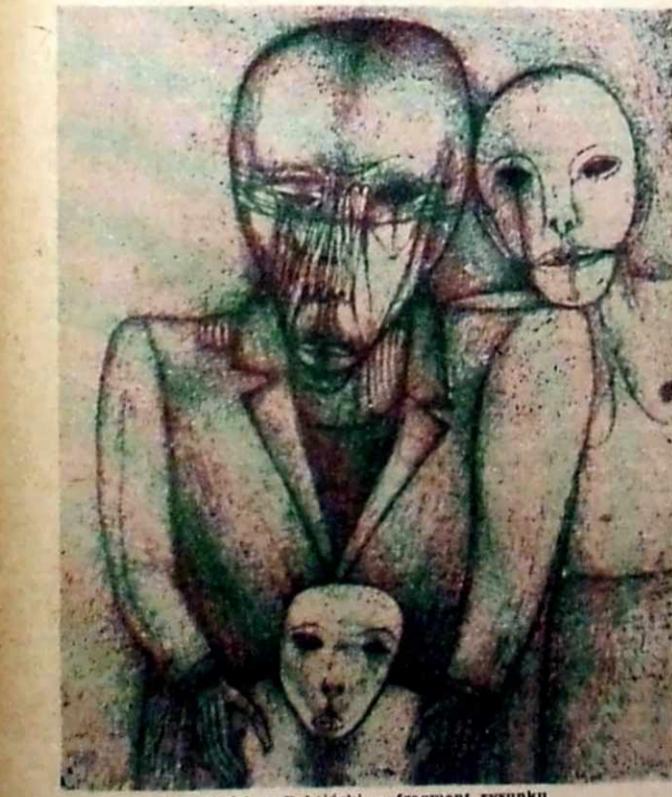
Te twarze powtarzają się w wielu rysunkach i figuracjach, w scenach o charakterze seksualnym. Najbardziej

przy tym istotny jest motyw więzów. Potworne deformacje postaci, częsta zoomorfizacja czy satanizacja — szpony, skrzydła itp. — podnoszą niewątpliwie ekspresję przedstawień i kierują odczytywaniem autorskiego wyznania. Nasuwają się tu także takie określenia jak sadyzm i masochizm. Na człowieka przypięty do krzyża żeruje inny, czemu asystuje chłopiec z dłońmi złożonymi do modlitwy; do ostrego pnia zbliża się kobieta z dzieckiem na rękach; potężne kobiety muszają małych mężczyzn do uprawiania pewnego rodzaju miłości. We wszystkich rysunkach postaci są związane ze sobą! Daje to podstawę do pewnego uogólnienia.

Otóż Beksiński wskazuje na fatalistyczny związek katala z jego ofiarą, na ich wzajemną fascynację i nieuchronność walki podstawowych pierwiastków natury: męskiego i żeńskiego. Nie jest przy tym tak pewne, kto jest katem, a kto ofiarą, choć wydaje się, że kobieta zawsze ma przewagę. Ale często i ona jest skrepowana — może swoją biologiczną zachłannością i nienasyconiem?

Nie jestem zresztą pewien, czy trafnie odczytałem credo ideowe twórczości Beksińskiego, choć taka interpretacja wydaje mi się najbliższą prawdzie. Jego dzieła, poza wyjątkami, są bardzo złożone i wieloznaczne, zawierają wiele różnych wątków, w różnych kierunkach prowadzą świadomość i wyobraźnię. Przypominają projekcje niesamowitego snu, w którym rzeczywistość przełamuje się z koszmarami podświadomości, a logiczne zdania zagłusza nieartykułowany pomruk.

IJK



Zdzisław Beksiński — fragment rysunku

LUKSUS STANDARD CZY PRYMITYW?

ROMUALD WISNIEWSKI



Fot. R. Sienko

WODA w jeziorze Rogużno miała tuż pod powierzchnią 21 stopni ciepła. Świeciło słońce, było bezwietrznie, gorąco. Gdyby nie kalen-darz wskazujący, że to już październik, można by przypuszczać, iż jesteśmy w pełni lata. „U nas w morzu rzadko kiedy w lipcu woda ma taką temperaturę”. — powiedział mi urbanista z Gdańska. „Zebym wiedziała, co tu zastanę, wzięłabym ze sobą kostium kąpielowy” — żalowała młoda architektka z Wrocławia. „No no... — złapał się za głowę pan z Olsztyna. — Na Mazurach teraz spróbować popływać to zapalenie płuc pewne”.

Woda w Rogużnie była ciepła, lecz nikt się nie kąpał. Październik to jednak jesień. Tylko przy odpowiednich warunkach można wykorzystać walory takiej ciepłej wody. Te odpowiednie warunki to nowoczesny pensjonat, w którym wczasowicz po wyjściu z jeziora dostalby w barze szklankę wrzącej herbaty, wziął gorący prysznic i wypoczął w ciepłym, wygodnym pokoju. Niestety, nad żadnym z 68 jezior łęczyńsko-włodawskich, ani nad jeziorami w Firleju czy Kunowie nie ma takiego pensjonatu. Mówi się nieraz, że niektóre jeziora, jak Firlej, Białskie czy Białe są zagospodarowane. Architekci z całej Polski, którzy przybyli do Lublina na konferencję na temat zagospodarowania województwa lubelskiego dla celów turystyki i wypoczynku, byli wstrząśnięci tym, co zobaczyli. „To nie jest zagospodarowanie, tylko dewastacja. Klasyyczny przykład tego, czego nie powinno się robić z terenami o walorach wypoczynkowych” — mówili na widok jeziora Białego w Okunince pod Włodawą.

Białe o tej porze wyglądało rzeczywiście przerażająco. Wokół jeziora biegnie szosa. A pomiędzy brzegiem i szosą, a także na zewnątrz szosy stoją setki drewnianych budek. Ile ich jest? Któż policzy! Nad jeziorem Białym jest 55 kolonii domków kempingowych. Może w nich wypoczywać 3-6 tys. osób. Czy jest to wypoczynek właściwy? Czy pobyt w tym getcie można nazwać powrotem na łono natury, czyli tym, co chcielibyśmy dać człowiekowi pracy z dużego miasta? Nie chciałbym tu powtarzać argumentów i poglądów, jakie wyłożyłem w artykule pt. „Co zrobić z tym skarbem?”, opublikowanym w „Kamieniu” z 31 sierpnia 1967 r. Ale ludziom, którzy upierają się szalenie przy zagospodarowywaniu województwa lubelskiego dla celów turystyki i wypoczynku właśnie poprzez budowę niezliczonej ilości domków kempingowych, trzeba z równym uporem zadawać pytanie, dokąd dążą? To już nie zalew slumsów, czy faweli, to jedno wielkie śmietnisko! Kolonia wypoczynkowa organizacji młodzieżowych zbudowana nad jeziorem Białskim w Białce pod Sosnowicą, kosztowała 14 milionów złotych. Ta kolonia to: pawilon, w którym jest 20 miejsc sypialnych, świetlica i hangar na łódki, następnie pawilon mieszczący stołówkę i kuchnię oraz 200 miejsc sypialnych w domkach kempingowych. Ośrodek czynny jest od 1 czerwca do 15 września. Dla porównania: dom wypoczynkowy „Prasy” w Kazimierzu nad Wisłą kosztował ponad 20 milionów złotych. Dom posiada 135 miejsc, lecz efektywność wykorzystania jego jest wielokrotnie większa niż ośrodek w Białce, przyjmuje bowiem

gości przez cały rok. Dom „Prasy” ma własną oczyszczalnię ścieków, podstację elektryczną, pompę i zbiornik na 50 tys. litrów wody, szosę dojazdową, kilka świetlic, i klubów, bar, salę kinowo-biblioteczną, centralne ogrzewanie, a w I i 2-osobowych pokojach radio, telefony, bieżąca zimna i gorąca woda, wanny lub prysznic oraz ubikacje. Ośrodek w Białce to prymityw, dom „Prasy” to w warunkach polskiego luksusu, w warunkach zaś europejskich — średni standard. Czy młodzież w Białce naprawdę lepiej wypoczywa w domkach kempingowych, czy może wolałaby, gdyby stał tam obiekt, jaki ma „Prasa” w Kazimierzu? Pewnie jest, że sezon w Białce mógłby wtedy trwać znacznie dłużej.

W nowoczesnych pensjonatach można by wypoczywać też znacznie dłużej w Firleju, w Okunince i nad innymi jeziorami. Świat idzie naprzód. Za lat 10-15 dom „Prasy” będzie zapewne i w Polsce uważany za średni standard, ale odpowiadający wymogom współczesnego człowieka. O dzisiejszych domkach kempingowych nie będzie można powiedzieć nic — nie stoją tak długo. Ciekawe miliony nie zdołają się zamortyzować. Nie można się dziwić zatem całkowitej dezaprobacji, jaką wyrażili wobec lubelskich sposobów gospodarowania architekturą i urbanistyką z całej Polski. W wielu rejonach kraju zdano sobie sprawę, że budownictwo kempingowe może być uzupełnieniem bazy wypoczynkowej, ale nie jej podstawą. Prezydium WRN w Gdańsku wydało niedawno zarządzenie nakazujące usunięcie znad wybrzeża morskiego 100 kolonii domków kempingowych. Na opóźnionych w ten sposób terenach będą mogły powstać tyl-

ko trwałe obiekty wczasowe. Jeden z wiceprzewodniczących Prezydium WRN w Lublinie, obecny na wspomnianej konferencji, przyrzekł pomoc władz wojewódzkich w walce o racjonalne zagospodarowanie turystyczne Lubelszczyzny. Wiadomo jednak, że Rada Zakładowa Zw. Zaw. Prac. Społecznych i Samorządowych przy Prezydium WRN nosi się z zamiarem zbudowania w roku 1968 kolonii kempingowej nad Jeziorem Zagłębie. Takie same plany ma podobno Rada Zakładowa przy którejś z lubelskich redakcji. Powiedziemy szczerze: niektórzy działacze związkowi szukają najłatwiejszego sposobu postawienia sobie pomnika na dół. Dlatego idą na efektywność, a nie efektywność.

Konferencja, o której mówię, zorganizowana została przez lubelski oddział Stowarzyszenia Architektów RP i Towarzystwa Urbanistów Polskich przy żywym udziale wysokich urzędników — występujących jednak jako osoby prywatne — z Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego i Wojewódzkiego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki. Rezultaty obrad, opracowane wnioski, mają więc jedynie charakter postulatów, z którymi uczestnicy konferencji zwracają się do władz wojewódzkich. Lecz udział przedstawicieli tych władz w konferencji, a nawet pomoc w jej zorganizowaniu, zdają się świadczyć, iż głosy rzucane z trybuny w Domu Technika dotrą do właściwych adresatów i zostaną wzięte pod uwagę przy opracowywaniu dalszych planów w tej dziedzinie.

O problemach wypoczynku w województwie lubelskim mówi się coraz więcej i w coraz czarniejszych tonach. Nie jest to wynik jakiegoś ataku hysterii, który zbiorowo nawiedził działaczy turystycznych, czy też prześladowej metody opowiadającej publicystów. Zmusza do tego sytuacja, rzeczywistość niewesoła.

Województwo lubelskie jest trzecim w Polsce pod względem obszaru i szóstym pod względem zaludnienia (pod koniec roku 1966 zamieszkiwało je niemal 2 mln osób). Jest to województwo wiejskie, bo zaledwie około 27 procent ludności mieszka w miastach. Można by więc powiedzieć, że nie stoi u nas za progiem dramatyczny problem: jak zapewnić ludziom możliwość wypoczynku w kontakcie z przyrodą, świeżym powietrzem i czystą wodą? Byłoby to jednak podstępem oparty tylko na pozorach. Pomijamy już bowiem gwałtowny rozwój miast, a także coraz wyraźniejszy pęd wsi do wypoczynku poza swym miejscem zamieszkania. Lubelszczyzna znajduje się już obecnie w opłakaniej sytuacji jeśli chodzi o bazę turystyczno-wypoczynkową. Ostatnie miejsce w kraju! Nie ma co się dziwić. To dawna Polska B. Lecz wszystkiego nie można usprawiedliwiać przeszłością. Czy wiele jest rzeczy ważniejszych dla człowieka, coraz więcej i wydajniej pracującego, niż dobry wypoczynek?

Nie mamy bazy wypoczynkowej, ale czy mamy teren? Trójka, Kazimierz — Naleczów — Puławy znany jest w całej Polsce. Budzi on również wielkie zainteresowanie na Lubelszczyźnie. W tym rejonie już ustępował Poljez, rzeka Łęczyńska. Wódz województwa Łęczyński we wczasach pobytowych (w roku 1966 na Pojezierzu 54,5 proc. wczasowiczów w województwie, w Trójce i Kazimierzu — Naleczów — Puławy 33,3 proc.). Zupełnie nie wykorzystano jest terenów (tylko 2,4 proc. wczasowiczów) Niedostatecznie zagospodarowane są okolice Lublina, w które kieruje się najwięcej (31,9 proc.) wczasowiczów. Jedni twierdzą, że Pojezierze (zobacz zresztą ostatnio przez regulację stanów wodnych kanałem Wieprz — Kramy, Bortocze i Trójka) — to mało, inni, że łącznie z Wisłą, której brzozią w woj. lubelskim wynosi 100 km, Buzimem (30 km w woj. lubelskim) i Wieprzem (rzeka ma 200 km długości) i w całości przepływa przez województwo lubelskie) oraz lasami (ok. 21 proc. terenów województwa) i pomniejszonymi rejonami o walorach turystycznych jest sporo. Niestety, obecny stan zagospodarowania turystycznego województwa jest proporcjonalnie do liczby ludności najgorszy w kraju. I to, że województwo lubelskie ma wspaniały klimat do wypoczynku (trejony o największym nasłonecznieniu w kraju nie ma być żadną pocieszą. A tymczasem wzrasta coraz bardziej ruch turystyczny. Coraz więcej wędruje u nas o przyszłym plecionikowym trybie życia. Zrozumiała jest więc troska władz, działaczy społecznych i specjalistów o jak najszybsze nadrobienie zaległości w omawianej dziedzinie. I to o nadrobienie nie tyle jak, byle szyć i więcej, lecz w sposób przemysłowy, racjonalny i uwzględniający wymagania współczesnego człowieka i współczesnych warunków życia.

W redakcji mówiono mi, bym napisał artykuł poruszający ogólne wszystkie główne problemy turystyki i wypoczynku. Po zastanowieniu się, spasowałem. Temat jest zbyt obszerny, by można było wyczerpać go w jednym czy kilku artykułach i zbyt ważny, by zbyć go powierzchownie. Ograniczyłem się więc do zasygnalizowania sprawy. Konferencja architektów i urbanistów też nie ujęła kompleksowo i dokładnie zarazem całości, zresztą takiego obrazu chyba nie ma jeszcze nikt. Jak trudno będzie zbudować taki obraz świadczyła sama ta konferencja. Władze wojewódzkie poparły imprezę, co do której były pewne, że padną tam głosy postulujące nieraz coś zupełnie przeciwnego niż dotychczas w województwie — za zezwoleniem tychże władz — robiono. Gospodarczo Lubelszczyzna wystąpił więc niejako — nieoficjalnie — przeciwko sobie samym jako czynnikom oficjalnym. Nie ma w tym jednak żadnej sprzeczności. Naciąg oddolny niektórych zakładów pracy i organizacji społecznych na władze województwa, by zezwalać na organizowanie turystyki i wypoczynku w sposób najłatwiejszy choć nie najbardziej celowy, jest ogromny. Dla przyszłości turystyki i wypoczynku w województwie lubelskim potrzebne są więc nie tylko plany, pieniądze, limity, moc przerobowa, inwestorzy zbiorowi, lecz także uświadomienie szerokich rzesz społeczeństwa, jak ten wypoczynek powinien wyglądać. Takie było też główne zadanie konferencji zorganizowanej przez lubelskich architektów i urbanistów.

Z wspomnień Iwana Koniewa — marszałka ZSRR (3)

Dlaczego nie zaciśnaliśmy kleszczy na Śląsku

JUŻ wieczorem 19 stycznia, w dniu zdobycia Krakowa, oceniając perspektywy walk w śląskim rejonie przemysłowym, zrozumieliśmy, że nieprzyjaciel może tu zśrodkować poważne siły: dziesięć do dwunastu dywizji, nie licząc oddziałów samodzielnych i specjalnych. Wyłoniły się przed nami trzy zadania sprowadzające się w gruncie rzeczy do jednego: rozbić śląskie zgrupowanie nieprzyjaciela bez dużych strat naszej strony, uczynić to jak najszybciej i w miarę możliwości zachować przemysł Śląska nietkniętym.

Podjęliśmy decyzję: głęboko obejść śląski rejon przemysłowy wojskami pancernymi, a następnie, współdziałając z armiami ogólnowojskowymi, które nacierały na Śląsk z północy, wschodu i południa, zmusić hitlerowców pod groźbą okrążenia do wyjścia na otwartą przestrzeń i tam ich rozbić.

W tym celu 20 stycznia 3 armia pancerna gwardii Rybalki otrzymała od dowódcy Frontu zadanie zmiany kierunku natarcia. Wojska Rybalki nakierowane były na Wrocław, ale w związku z sytuacją, jaka wytworzyła się na Śląsku, trzeba było gwałtownie zawrócić z północy na południe wzdłuż Odry. Było to dla Rybalki zadanie równie nieoczekiwane, jak bardzo skomplikowane: nagły zwrot całej

armii pancernej, posuwającej się już w innym kierunku, to nieprosta sprawa.

Równocześnie wydano odpowiednie rozkazy armiom ogólnowojskowym. 21 armia generała pułkownika D. W. Gusiewa, wzmocniona 31 korpusem pancernym generała W. J. Grigoriewa i 1 korpusem kawalerii gwardii generała W. K. Baranowa miała uderzyć na Bytom, obchodząc śląski rejon przemysłowy od północy i od północnego zachodu; 59 armia I. T. Korownikowa, wzmocniona 4 korpusem pancernym gwardii P. P. Potubojarowa, miała kontynuować natarcie na Katowice, a 60 armia P. A. Kurczkina — zadać cios wzdłuż Wisły, obchodząc śląski rejon przemysłowy z południa.

Tak wyglądał ogólny plan zdobycia śląskiego rejonu przemysłowego. Dalsze wydarzenia wykazały, że zamierzony manewr dostosowany był do sytuacji. Kiedy 3 armia pancerna gwardii, działająca w tym czasie w głębi obrony nieprzyjaciela, zawróciła z północy na południe i skierowała się wzdłuż Odry, wojska faszystowskie, które jeszcze stawały opór nacierającej na nie 5 armii gwardii i nie oczekiwały tak śmiałego manewru, zaczęły, w obawie przed okrążeniem, w pośpiechu wycofywać swe siły za Odrę.

Wykorzystując tę sytuację oddziały 5 armii gwardii wyszły 22 stycznia pod wieczór na brzeg Odry na północny zachód od Opola, przeprawiły się przez rzekę i zdobyły na zachodnim brzegu przyczółek — pierwszy na naszym froncie. W

czasie, kiedy Rybalko dokonywał zwrotu na południe, wojska 21, 59 i 60 armii zajęły setki miejscowości, wyszły na przedpolo śląskiego rejonu przemysłowego i rozpoczęły ciężkie walki, przy czym istniała obawa, że będą to walki przewlekłe (...)

Jechałem do wojsk i omawiałem kolejne decyzje. Dalsze natarcie 59 armii z południa i 3 armii pancernej gwardii z północy wyraźnie już zarysowywało wokół nieprzyjaciela kleszcze, które należało tylko zamknąć, aby okrążyć całe zśrodkowane w śląskim rejonie przemysłowym zgrupowanie faszystowskie. Mielśmy do tego realne możliwości. Przedemną jednak jako dowódcą Frontu wyłaniał się problem: czy należy to uczynić? Rozkładałem, że jeżeli okrążyłby nieprzyjacielskie zgrupowanie, liczące bez oddziałów wzmocnienia dziesięć do dwunastu dywizji, i bieżąco — zwłaszcza w tym terenie — prowadził z nimi walkę, przedłużymy jego opór. Na tym właśnie polegało sedno sprawy.

Śląski rejon przemysłowy to twarde orzech do zgryznięcia szerokość jego wynosiła 60, długość 110 kilometrów. Cały obszar jest gęsto zabudowany przede wszystkim konstrukcjami z betonu oraz solidnymi murywanymi domami mieszkalnymi. Przed nami było nie miasto, lecz cały system zróżniczeń ze sobą miast o ogólnej powierzchni 5000-6000 kilometrów kwadratowych. Jeżeli nieprzyjaciel tu się usadowił i zechce się bronić, pokonać go będzie bardzo trudno. Nieuniknione będą duże ofiary w ludziach i sprzęcie. Cały rejon ległby w gruzach.

Słowem dokładnie zdawałem sobie sprawę, ile będzie nas kosztowało zniszczenie okrążonego w śląskim rejonie przemysłowym nieprzyjaciela. Ale i zrezygnowanie z mojego zamiaru nie było rzeczą prostą. Przyszan, że toczyłem ze sobą walkę. Sytuacja komplikowała i to, że przy dwóch dniach, na

początku operacji, kiedy nie zdążyliśmy jeszcze zbliżyć się do rejonu Śląska i nie byliśmy w stanie w całej rozciągłości uświadomić sobie, jakie ofiary, jakie zniszczenia mogą pociągnąć za sobą długotrwałe walki w tym rejonie, wydałem rozkaz okrążenia.

Jechałem do nadciągającej z północy armii Rybalki i dojrzała we mnie myśl, że obowiązkiem naszym jest zdobyć śląski okręg przemysłowy nie zniszczony, a więc, że powinniśmy wypuścić Niemców z tej pulapki i dobić ich potem, w polu. Z drugiej strony właśnie okrążenie jest najwyższą formą sztuki operacyjnej, jej uwieńczeniem. Jakże więc nagłe zrezygnować z tego? Nie było mi łatwo — miałem za zadaniem oficerowi, wychowanemu w duchu dążenia do tego, aby w każdych okolicznościach okrążyć nieprzyjaciela, przecinać jego komunikacje, nie wypuszczać z pierścienia, gromić — nagłe postępować wbrew ustalonej doktrynie i bezspornie przyjętym poglądom. Poglądom, które sam wyznawałem (...)

W wyniku tych rozmyślań podjąłem ostateczną decyzję: nie okrążyć nieprzyjaciela, pozostawić mu wolny korytarz do wycofania się z Zagłębia Śląskiego i dobić go potem, gdy znajdzie się w polu. W późniejszym czasie życie potwierdziło słuszność tej decyzji.

Dla zrealizowania jej trzeba było z jednej strony ponownie zawrócić w marszu oddziały armii pancernej Rybalki, gotowe do przecięcia korytarza, z drugiej zaś — zaktywizować działania wojsk nacierających bezpośrednio na śląski rejon przemysłowy. Samo pozostawienie hitlerowcom korytarza nie zalałoby sprawy. Należało zmusić ich, aby widzieli w nim jedyną drogę ratunku. W tym celu trzeba było pokazać im naszą potęgę i zdecydowanie wyrzucenia ich ze śląskiego rejonu przemysłowego, atakując i wypierając ich w kierunku korytarza, na południowy zachód (...)

Widoczność była wyjątkowo dobra. Przed nami pole walki. Widzimy je obaj jak na dłoni, widzimy

posuwanie się czołgów armii Rybalki. Brygady jego manewrują przed nami jak na dobrą sprawę płacę ćwiczebnym posuwając się pod ostrzałem nieprzyjaciela ku śląskiemu rejonowi przemysłowemu.

W oddali widać również i sam rejon przemysłowy, dymiące komin fabryk. Na lewo od nas, tam, gdzie walczą 21 armia Gusiewa, słychać nieprzerwanym ogniem artyleryjski i widać nacierającą piechotę. A z tyłu, z głębi wyłaniają się nowe masy czołgów — korpus, który Rybalko kieruje w tej chwili przez radio na Racibórz.

Współczesna wojna związana jest z odległością. Działania dużych mas wojsk najczęściej nie mieszczą się w polu widzenia człowieka, nawet jeżeli znajduje się on na punkcie obserwacyjnym. Najczęściej można je śledzić tylko na mapie. Tym większe więc odczuwałem zadowolenie, kiedy obserwowałem szybkie posuwanie się ugrupowań bojowych brygad pancernych, śmiało, natarczywie, pomimo ognia i oporu nieprzyjaciela. Na czołgach desant piechoty, za nim — zmotoryzowana piechota przy czym niektórzy żołnierze z harmoniami i akordeonami. Nawiasem mówiąc, wiele czołgów zamaskowano w tej operacji tytułem. Człogi i tu! polaczenie na pierwszy rzut oka dziwne, ale miało to swój sens. Była zima, na polach jeszcze leżał śnieg, czołgicel zaś zdobył akurat dzień temu magazyn jakiejś fabryki włókienniczej, z większą ilością tytułu i okazało się, że można nim nie najgorzej maskować.

Tak oto wyłania się teraz przed moimi oczami obraz wraz ze wszystkimi jego kontrastami: dymiące komin Śląska, ogień artyleryjski, chrząst gąsienic, tytuł na czołgach, żołnierze grup desantowych, grający na harmoniach, których dźwięk do nas nie dociera (...)

Decyzja o rezygnacji z okrążenia śląskiego zgrupowania nieprzyjaciela była odcena. Pod silnym naciskiem wojsk radzieckich od czoła, obawiając się głębokiego obejścia, hitlerowcy musieli szybko rezygnować przez pozostawienie przesyła w tym celu przebiec. Do 22 stycznia cały śląski rejon przemysłowy został oczyszczony z wojsk nieprzy-

POSTAWNY, umundurowany strażak z gwiazdkami, chyba komendant, wtargnął bezpośrednio do klubu. Przerwał rozmowę młodej dziewczynie, która od roku jest kierowniczką rachunkowej placówki kulturalnej. Odwołał ją na bok i rozkazującym tonem oświadczył: — Janka, ściągaj te firanki, jutro będzie malowanie. — Zadnego remontu nie będzie, zrobi się go po niedzieli — odparła dziewczyna. — Bez gadania. To naprawa gwarancyjna — usłyszała w odpowiedzi. Klub umieszczono w budynku strażackim. Gościnni gospodarze mają więc prawo narzucić sublokatorowi swą wolę. Tak oto rozlały się nadzieje na urządzenie uroczystości Dnia Działacza Kultury. Trzeba było zdjąć ze ściany biało-czerwone płótno z przypiętymi do niego gałązkami sztucznych kwiatów i sloganem „Dni powszechnej manifestacji kultury”.

Skąd zaczerpnięto hasło i kto był jego autorem, pozostanie tajemnicą, gdyż kierowniczka klubu okazała się osobą nad wyraz dyskretną. Na pewno nie wymyśliła go młoda absolwentka doliwostowskiego liceum technik plastycznych. W monieckim klubie treść przypiętych do płótna papierowych liter nabierała swoistej znaczenia. Aż nazbyt dokładnie odzwierciedlała rzeczywistość. W klubie nie prowadzi się przecież działalności kulturalnej. Od czasu do czasu, przy okazji świąt i uroczystości, jedynie manifestuje się kulturę. Może wynika to z nikłych doświadczeń kierowniczki klubu, z jej młodzieńczej nieśmiałości, a może przyczyną tkwiącą głębiej, w braku tradycji i przyzwyczajenia oraz w braku umiejętności organizacyjnych władz kulturalnych powiatu?

Rada klubu? Podobno składa się z siedmiu osób. Podobno, gdyż na kilka razy zwoływane ostatnio posiedzenia nikt się nie zjawił. Nie przyszła urzędniczka z poczty, zawiadł ktoś z centrali nasiennej i nauczyciel ogólniaka. Te informacje kierowniczka klubu wyrecytowała z pamięci. Po inne musiała zająrzeć do spisu. Jako członkowie rady figurowali w nim pracownicy biblioteki, Wydziału Oświaty i Kultury PPRN oraz Komitetu Powiatowego. Figuranci nazwiskami swymi przypiętymi widać byli. Nikomu widać nie są potrzebni. Stały pracownik klubu nawet o nich nie wie. Nazwiska musi sobie przypominać z pisemnego dokumentu. Oni sami również nie liczą na swe kulturalne zaangażowanie. I tak oto zeszlortowana maturzystka musi się borykać z nie znanymi jej problemami klubowej roboty. Czy można się dziwić, że popada w szampę, że wybiera najłatwiejsze rozwiązania?

Moniecki klub skupia entuzjastów brydla i szachów. Zreszty się oni nawet w organizmy zwane sekcjami. Jednak poza ten krąg zainteresowań placówka nie wychodzi ani na krok. Na jej ścianie wisi oprawy w ramki tygodniowy rozkład zajęć. Zaplanowany z góry i

zmieniany systematycznie każdego poniedziałku, a potem pięciolatwie przechowywany w szafie „1845 — kino krótkich filmów, potem gry w szachy i grydy oraz słuchanie muzyki z płyt. 28.15 — piosenki polskich nagrod, 21.05 — Dwa muszkieterowie — film”. Inna kartka zapowiada: „do 18.30 — słuchanie płyt, czytanie prasy, gry, 13.30 — Na morskich szalach, 13.30 — Dziennik, 20.30 — Telewizyjny Kurier Warszawski”. Nie trzeba zbytejnego polotu by stwierdzić, że plan działalności klubowej przepisywany jest z anonimowych w prasie programów telewizyjnych. Właśnie inwencja kierowniczki klubu ogranicza się do włączenia czasem płyt z nagraniami piosenek, wyposzczenia gier i wykładania prasy. Zdarzają się też potanocówki. Jeżeli natomiast — nader rzadko — zjawi się w klubie białostocki literat Aleksander Omilianowicz, czy przeprowadza się w nim powiatowe eliminacje czytelnego konkursu — zawsze są to imprezy narzucane z zewnątrz.

o tym nie chce pamiętać. Inne grody świecą swoje kilkunastki. Mońki w porównaniu z nimi to ośesek, jeden z kilku najmłodszych w kraju. Hotobleniem tradycji przypominają ten szczyt — wieki, swe niedawne przemoczarzenie ze wsi w miasto, degradację dobrobytu własną miejscowość? Przecież w pojęciu społeczeństwa wieś wciąż jeszcze jest uboższym i niższym tworem od miasta. Mieszkańcy Mońek raczej pragną zapomnieć o niedawnych dziejach, przestąpić je rozmachem rozbudowy i zmian, wyżyć się jak najprędzej większego kompleksu.

W 1954 roku Mońki stały się siedzibą powiatu. Mimo to nadal pozostawały wsią. Dopiero 1 stycznia 1966 roku uzyskały prawa miejskie. Już wcześniej wkroczyły na drogę rozwoju, ale pełną parą przeobrażenia ruszyły dopiero od momentu

rych przyjeżdża kino objazdowe, 3 kółkarnie, 21 sal widowiskowych — to dorobek kilku ostatnich lat. Jako regule przyjęto lokowanie w nowych budynkach przyjeżdżo GRN pomieszczeń na biblioteki i kluby. Tak jest w Jasionówce i Trzciannym, w Jasiu, w Dziękoniach i Bogusławiu. Również stare pomieszczenia placówek kulturalnych doprowadza się do należącego porządku. W tym roku w osmiu klubach i bibliotekach przeprowadzono kapitalne remonty. Wyrazem doceniania spraw kultury jest też finansowanie przedsięwzięć w tej dziedzinie przez władze lokalne. Wszystkie kluby środki na działalność czerpią z budżetów gromadzkich rad. Dwie nowe założone biblioteki, w Kleszczynie i Dziękoniach, utrzymywane są w całości z funduszu gromadzkiego. Odciała to budżet biblioteki powiatowej i pozwala na zwiększenie zakupów nowości książkowych. Fundusz gromadzki w powiecie wynosi 1 700 tys. złotych. Z tej sumy 540 tys. przeznacza się na

tylko innych, ale również siebie. Jest przecież stałym czytelnikiem biblioteki i uczestnikiem wszelkiego rodzaju imprez. Często zachodzi do pokoju zastępcy inspektora. Niektórzy powiadają — odwiedza żonę. Być może, ale rozmawia z nią i jej zwierzchnikiem nie o kłopotach rodzinnych, a o pilnych sprawach kultury w powiecie. Tu rodzą się pomysły, tu powstają plany działania. Przewodniczący przychodzi do administratorów kultury, gdyż tam ma ich wszystkich razem, tam mu nikt nie przeszkodzi innymi sprawami. Powiada zresztą, że nie zawsze wypada ciągnąć ich do gabinetu. Takie urzędowe traktowanie podwładnych wprowadza dystans. Natomiast kiedy przewodniczący PPRN staje się niejako interesantem, łatwiej i śmielej można dyskutować.

Kulturalne ambicje Mońek zostają już wyzwolone. Ich wykładników szukać należy poza klubem. Jeszcze ciąży nad nimi cięż materialnego, konkretnego dorobku. Przejawia się to choćby w zmianie lokalu biblioteki i klubu. W baraku pozostało jeszcze kino i ognisko muzyczne. Zewnętrznie pomieszczenia te nie wyglądają imponująco. Ale widownia kina, przystosowana również do przedstawień teatralnych, wprowadza przybysza w zdumienie. Dziwi go, że w niedawnym baraku urządzono tak przyjemne wnętrza. Potrzeba jeszcze Mońkom trochę energii i odwagi, by jak najrychlej zaczęły wznosić odpowiednie budynki dla biblioteki i domu kultury. Warto przecież doświadczenia z terenu powiatu przenieść do miasta.

Samo jednak wnoszenie kulturalnych obiektów nie stanowi jeszcze o awansie w tej dziedzinie. Muszą one służyć działaniu. Narastającym, wciąż nowym zjawiskom i faktom. Ten stopień wjaęmnienia jest o wiele trudniejszy od poprzedniego i mniej wymierny. Konkretno z tego zakresu nie da się mierzyć liczbą zużytych cegieł, czy wystawionych budynków. Tu nawet statystyczne sumowanie przedstawień, projekcji filmowych lub zespołów amatorskich nie odzwierciedla istoty rzeczy. W powiecie monieckim i w samych Mońkach zaczęły przedsięwzięć uzasadniających budowę i remonty wyraźnie daje o sobie znać. Grupa entuzjastów, prowodyrów — jak ich tu nazywają — nie poprzestaje na uroczystym przekazaniu społeczeństwu nowej biblioteki lub klubu. To oni właśnie codziennymi nie zauważanymi wysiłkami uczynili z książki nieodzowny element życia. Co czwartki mieszkańiec Mońek korzysta z usług biblioteki. Częściej lub rzadziej zachodzi do niej po umundurowany w szary papier wolumin, z którego czerpie rozrywkę i wiedzę, który dostarcza mu niekiedy jedynych przeżyć artystycznych.

Mońki nie mające wiekowych tradycji, wystrzegające się tego określenia, zafascynowane rozmachem miejskich przemian, tworzą jednak godne uwagi wartości i zjawiska. Jest to tradycja młoda, współczesna, dopiero co wykluwająca się i krzątająca razem z cementem spajającym cegły wznoszonych domów. Do niej należy przecież dopiero co wspom-

(Dokończenie na str. 11)

OSESEK KARMIONY FERMENTEM

Z cyklu: Miasto na dłoni

WOJCIECH JANKOWERNY

Mońki nabrały rozmachu. Widać go na każdym kroku. Na szczęście hektarach budoje się mleczarnie, największą w kraju, a może nawet w Europie. Przy ul. Białostockiej imponująco prezentują się hale Państwowego Ośrodka Maszynowego. Jest to jedyny na Białostoczczyźnie nowo wybudowany obiekt tego typu. Ledwo ukończono Zakład Weterynarii, już przystąpiono do wznoszenia przy ul. Kolejowej fabryki gazu. Równoległe z uprzemysławianiem miasta budoje się urzędy i domy mieszkalne. Warszawę nazywano kiedyś jednym wielkim placem budowy. To samo można powiedzieć o dzisiejszych Mońkach. Tylko wymiary zabudowywanej przestrzeni są tu odpowiednio mniejsze, dostosowane do skali nowo narodzonego miasteczka. Niemniej sprawiają takie samo wrażenie. Świeże, jeszcze nie przykurzone tynki Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, poczty, szpitala, Komitetu Powiatowego PZPR, remizy strażackiej — to dorobek kilku zaledwie lat. A zaraz obok powstaje blok mieszkalny, dalej drugi i trzeci... W innym punkcie miasta podciągnięto już pod dach siedzibę Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. W tym uśmiałym nadganianiu straconego czasu, w dążeniu do urbanistycznej nowoczesności — nawet w wyglądzie sklepów i sposobach oferowania rzemieślniczych usług — coraz bardziej zaczynają razić, nabierające egzotycznych cech, stare drewniane chałupy i stereotypowe czarne szylidy przybite do płotu, anonsujące „Wyrób trumien”.

Tu, w Mońkach, żyje się tylko dnem dzisiejszym i przyszłością. Nikt nie kontempluje przeszłości, nie podtrzymuje tradycji. Jej zresztą miastu brak. Może nawet znalazłoby się to lub owo, ale nikt

przemianowania wsi na miasto. Dynamizm ten widoczny jest również we wzroście ludności. Trzy lata temu Mońki liczyły ok. 3 tys. mieszkańców, — obecnie już 5 tys. Obok przemysłu, zakładów pracy, mieszkań, urzędów i sklepów potrzeba w Mońkach miejsca na kulturę i rozrywkę. W budowlanym rozmachu pominięto kulturę. Wprawdzie biblioteka i klub uzyskały nowe, o wiele przestronniejsze i wygodniejsze pomieszczenia, ale nie we własnych lokalach. Są sublokatorami w strażackiej remizie. W tym wypadku pokucie nad Mońkami ich wielkie pochodzenie. To, co wystarcza w małym środowisku, nie może zadowolić prężnego powiatowego miasta. Klub w Mońkach zastępuje powiatowy dom kultury. Czy jest w stanie wypełnić tę lukę? Pytanie retoryczne. Biblioteka nie ma miejsca na oddział dziecięcy. Oto prawda wierzająca za wznoszonych murów, wynikająca z przeczołzeń i stosowania półśrodków. Jeżeli Mońki pragną by powiatowy awans zajął pełnią barw, muszą zadbać o równomierny rozwój wszystkich dziedzin życia. Inwestycji kulturalnych nie mogą odłożyć na potem. One są równie ważne dla miasta, jak przemysł i mieszkania.

Zrozumienie tej prawidłowości o monieckich władz jest chyba wystarczające. Nie potrafił tylko praktycznie realizować tej idei. Łatwiej osiągać cel we wsiach swojej powiatu. Niedawna przeszłość pozwala jaskrawiej dostrzegać narastające potrzeby kulturalne ludności wiejskiej. Stąd chyba czerpie podjęte inicjatywa kulturalnego fermentu, jakiego próżno szukać w innych częściach Białostoczczyzny. Ponad 50 klubów, 15 bibliotek gromadzkich, ponad 120 punktów bibliotecznych, 2 gromadzkie ośrodki kultury, kilka świetlic zakładowych i gromadzkich, 6 kin, 21 punktów, do któ

kulturę. Komentarze zbyteczne. Oby wszędzie tak hojnie ją obdarowywano! Kiedy w 1961 roku Włodzimierz Zmarzlik objął stanowisko zastępcy inspektora do spraw kultury, zastał w powiecie kulturalne pustkowia. Z upływem lat przybywają entuzjastów, ludzi niespokojnych i nie godzących się z letargiem. Dzięki nim w krótkim czasie stworzono w pow. monieckim sieć placówek mogących podjąć działalność w swych środowiskach. Wokół kierowniczki biblioteki powiatowej skupiło się całe grono ludzi aktywnych, m. in.: Barbara Siewko i Irena Czuma. Dołączyły do nich Wiesława Malinowska i Irena Rząca — pracownik kultury w Inspektoracie. Ci ludzie wyznaczili sobie konkretne zadania i zaczęli je realizować. Przede wszystkim chodzilo o budownictwo, remonty, wyszukiwanie lokali i zakładanie placówek. Ich wysiłki skonsolidował przybył przed dwoma laty do Mońek przewodniczący Prez. PPRN, Eugeniusz Rząca. Być może do kultury przewodniła go żona. Często przecież zawodowe zainteresowania członków rodziny przenoszą się na innych domowników. Stają się ich pasją, przekształcają ich w swego rodzaju specjalistów i zagorzałych zwolenników. Jednak nie przyczyniły się w tym wypadku ważne, lecz skutki. Przewodniczącemu Rzące za jego kulturalne zaangażowanie, poprzecznie w pow. kolneńskim, wyróżniono Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury. On to właśnie dołączył do grona monieckich entuzjastów, umożliwił im intensywniejsze działanie, stworzył sprzyjający kulturze klimat i wprowadził jej problemy pod dach gromadzkiej rad narodowych. Przewodniczący czuje kulturę i rozumie jej potrzebę. Obarczać chce nią nie

ciela i zdobyty w stanie nienaruszonym. Gdy wdarł się tam, wiele przedsięwzięć pracowało pełną parą i nadal nie przerywało produkcji.

Wojska faszystowskie poniosły poważne straty już w dniach, kiedy próbowały oderwać się od nas i wydstawiały się z rejonu przemysłowego do pozostawionego dla nich korytarza. Największe jednak zadaliśmy im, oczywiście, gdy już z niego wyszli, zmasowanymi uderzeniami czołgistów Rybalki i 69 armii Kuroczkina.

Sądząc z danych, którymi dysponowaliśmy, po szeregu uderzeń w otwartym polu ze zgrupowania nieprzyjacielskiego na Śląsku pozostało nie więcej niż 20 000—30 000 ludzi reprezentujących najróżniejsze rozbitki i rozproszone oddziały. To wszystko, co udało się im wprowadzić z przewidywanego kotła, z którego zrezygnowaliśmy w ostatniej chwili.

Pozostawiliśmy wyraźnie przetrapiłszy kilku hitlerowskich generałów, których można było wziąć do niewoli. Ale nie roiliśmy nad tym też. Tego, cośmy wygrali, w żadnym razie nie można było porównać z tym, czegośmy się wyrzekli.

Dotychczas mówiłem przeważnie o działaniach południowego skrzydła Frontu. Niemniej jednak przy całej doniosłości operacji mającej na celu zdobycie śląskiego rejonu przemysłowego, działania nie ograniczały się tylko do tego. Od lewego skrzydła Frontu, gdzie ssaśadowaliśmy z 4 Frontem Ukraińskim, do prawego skrzydła, gdzie stykaliśmy się z 1 Frontem Białoruskim, było około 500 kilometrów i walki toczyły się na całym tym olbrzymim obszarze.

Jak już wspominałem, 5 armia gwardii Żadowa wykorzystując ją centralnym odcinku frontu sprzyjającą sytuację jaka powstała po zawróceniu armii Rybalki, zdobyła przyczółki, które odegrały później bardzo poważną rolę przy prowadzeniu nowych operacji — na Dolnym i Górnym Śląsku.

Na prawo od Żadowa 3 armia pancerna Leluzenki również sformowała Odrę i posunęła się do rejonu Ścinawy. Na prawo działała 12 armia Puchowa i 3 armia gwardii Gordowa, ale tam natarcie rozwinęło się powoli. Wojska prowadziły zaciekłe walki z resztkami 24 korpusu pancernego i 42 korpusu armijnego oraz ze związkami taktycznymi 9 armii polowej. Wszystkie te siły przeciwstawiły się przedtem wojskom 1 Frontu

Białoruskiego, teraz zaś pod ich ciosami przesunęły się na południe i znalazły się w rejonie na wschód od Leszna, w pasie natarcia armii Gordowa.

Wobec szczególnie trudnej sytuacji musiałem wyjechać do Leluzenki. Jego stanowisko dowodzenia znajdowało się już na drugim brzegu, za Odrę. Po przybyciu tam i po wysłuchaniu meldunku dowódcy armii, kazałem mu uderzyć w kierunku północno-zachodnim, a równocześnie nacierać na obu brzegach Odry; w ten sposób miał pomóc Gordowowi. Obie te armie miały wspólnym wysiłkiem okrążyć i zniszczyć wypierane przez 1 Front Białoruski zgrupowanie nieprzyjaciela, aby nie pozwolił mu przeprowadzić się przez Odrę.

Wspominam o tym z goryczą, muszę jednak stwierdzić, że 3 armii gwardii i 4 armii pancernej nie udało się całkowicie wykonać tego zadania. Faszystwi wykonali manewr i przeszli na północ od zaplanowanego przez nas uderzenia. Niemniej jednak wojska nasze zdolały początkowo okrążyć, a potem zniszczyć w rejonie Leszna około 15 000 hitlerowskich żołnierzy, ale pozostali, choć z dużymi stratami, przeprowadzili się na zachodni brzeg Odry. I jeżeli na lewym skrzydle Frontu wszystko zrobiono zgodnie z założeniami, to o działaniach prawego skrzydła nie można tego powiedzieć.

Wojna to nieprzerwane gromadzenie i nieprzerwane uogólnianie doświadczeń. Uogólnione i przemysłowane doświadczenia w sposób istotny wpływają na dalszą działalność wojsk, na dalszy przebieg wojny. Dlatego więc chciałabym zatrzymać się w tym miejscu i omówić najbardziej istotne wyniki operacji wiślańsko-odrzańskiej.

Główna cecha przełamania, z którego rozpoczęła się operacja, polegała na tym, że zapewniłmy dużą głębokość ogniewego obwładnięcia nieprzyjaciela — w gruncie rzeczy do granicy naszego naszej artylerii, co wynosiło dla dużych kalibrów 20 do 22 kilometrów.

Pierwsze sukcesy należy przypisać również prawidłowemu określeniu szerokości przełamania. Przełamanie frontu na szerokość 40 kilometrów z miejsca pozwoliło rozwinąć uderzenie na głębokość operacyjną oraz w kierunku skrzydła.

szego dnia armie Żadowa, Korotiejewa i Puchowa pokonały walcząc odległość 15 do 20 kilometrów, a w następnych — nacierali z szybkością 25 do 30 kilometrów na dobę. Czołgiści robili 40 do 50, a bywały dni, że i 60 do 70 kilometrów, gromiąc w marszu nadciągające odwody nieprzyjaciela.

Armie pancerne dawały w toku operacji przykład śmiałości i szybkiego manewru, jak powiedzmy manewr armii Rybalki z północy na południe, który przesyłał o losie śląskiego zgrupowania nieprzyjaciela oraz manewr armii pancernej Leluzenki. Na początku operacji 4 armia pancerna, przodkując się na zachód od Kielc, umożliwiła wojskom Gordowa i Puchowa szybkie zdobycie miasta i rozgromienie całego kielecko-radomskiego zgrupowania Niemców.

Cechą charakterystyczną operacji było również stosowanie szerokiego manewru nie tylko przez związki pancerne, ale również przez armie ogólnowojskowe. Śmiałe posuwanie się wojsk naprzód nie w składzie całego frontu lecz bez oglądania się na sąsiadów, stało się regułą.

Pomyślne zdobycie śląskiego rejonu przemysłowego miało również znaczenie zasadnicze. Zdarzają się przecież takie sytuacje, że najbardziej, wydawałoby się, efektywne z punktu widzenia sztuki operacyjnej zakończenie tej lub innej operacji nie pokrywa się z wyższym interesem polityczno-strategicznym.

Przy studiowaniu operacji wiślańsko-odrzańskiej spotykamy przykłady zarówno klasycznych form okrążenia nieprzyjaciela, jak walki mającej na celu okrążenie i zniszczenie zgrupowań posuwających się na tyłach naszych wojsk. Wybierając te lub inne formy manewru operacyjnego, zawsze mieliśmy na uwadze konkretną sytuację, niezwykle różnorodną. Manewru dokonywały przecież obie strony i na polu walki przez cały czas powstawały zupełnie nieoczekiwane sytuacje, które wymagały śmiałych, szybkich i twórczych rozwiązań.

Operacja ta jest interesująca również ze względu na szybkie forsowanie dużych przeszkód wodnych w warunkach łagodnej zimy, przy niewielkich opadach śniegu, kiedy rzeki prawie nie zamarały. Trzeba przyznać, że wojska nasze dobrze przyswoiły sobie podstawowe wymagania operacyjne: wychodzić nad rzekę szerokim frontem zanim zajęmie nad nią obronę nieprzyjaciel.

Z reguły robiliśmy to z dobrym wynikiem.

Rozpatrując operację wiślańsko-odrzańską w jej całokształcie, stwierdzimy, że w ciągu dwudziestu trzech dni natarcia wojska 1 Frontu Białoruskiego i 1 Frontu Ukraińskiego, przy aktywnym współdziałaniu z wojskami 2 Frontu Białoruskiego i 4 Frontu Ukraińskiego, przesunęły się na głębokość około 600 kilometrów, poszerzyły przełamanie do 1000 kilometrów i z marszu sformowały Odrę, zdobywając szereg przyczółków, przy czym 1 Front Białoruski znalazł się po zdobyciu przyczółka pod Kostrzynem w odległości 60 kilometrów od Berlina.

Wojska 1 Frontu Ukraińskiego odcyły w tej operacji południową Polskę z jej prastarą stolicą Krakowem, oparowały śląski rejon przemysłowy i zdobyły na zachodnim brzegu Odry przyczółek operacyjny stworzyły sprzyjające warunki do zadania nieprzyjacielowi kolejnych ciosów zarówno na kierunku berlińskim, jak drezdeńskim.

Według naszych obliczeń w ciągu dwudziestu trzech dni działań bojowych 1 Front Ukraiński rozgromił dwadzieścia jeden dywizji piechoty, pięć dywizji pancernych, dwadzieścia siedem samodzielnych brygad piechoty, dziewięć brygad artylerii i moździerzy, nie mówiąc już o bardzo dużej liczbie rozmaitych pododdziałów specjalnych i batalionów samodzielnych.

Do niewoli wzięto 43 000 jeńców i zlikwidowano według naszych obliczeń, ponad 139 000 żołnierzy i oficerów. Wśród trofeów było ponad 3000 dział i moździerzy, ponad 300 czołgów, ponad dwadzieście samolotów i wiele innego uzbrojenia oraz sprzętu bojowego.

Sukcesy te stały się możliwe dlatego, że szeregowcy, podoficerowie, oficerowie i generałowie wykazali w tej długotrwałej, niepojętej, obejmującej swym zasięgiem olbrzymie obszary operacji ogromne nęstwo, wytrwałość, nieustępliwość i wysoki poziom sztuki wojennej. A operacja ta w stosunku do głębokim oddaniu całego stanu osobowego swojej socjalistycznej ojczyzny oraz na równie głębokiej wierze w zbliżające się już ostateczne zwycięstwo nad faszyzmem.

Operacja obfitowała w przykłady bohaterstwa i poświęcenia oraz zdecydowania ludzi, którzy pragnęli spełnić swój obowiązek do końca, nie licząc się z niczym. Teraz po upływie wielu lat, jako były dowódca 1 Frontu Ukraińskiego, raz jeszcze chylę głowę przed wszyst-

kimi, którzy przelewali krew i oddali w tych walkach życie. A ofiar mieliśmy немало.

Jednakże ogólnie biorąc, jeżeli porównamy poniesione straty z osiągniętymi sukcesami śmiało można stwierdzić, że odnieśliśmy zwycięstwo z mniejszą ofiarą krwi niż w niektórych poprzednich operacjach. Złożyła się na to zarówno rosnąca potęga naszego sprzętu bojowego, jak bardziej dojrzała sztuka wojenna.

Oto, co napisał później historyk wojenny Niemiec zachodnich były generał armii faszystowskiej, F. Mellentin: Rosyjskie natarcie rozwijały się z niespotykaną siłą i szybkością. Jasne było, że ich Naczelne Dowództwo całkowicie oparowało technikę organizacji natarcia olbrzymich armii zmechanizowanych. Tego, co wydarzyło się między Wisłą a Odrę w pierwszych miesiącach 1945 r., nie sposób opisać. Europa nie widziała nic podobnego od czasów zagłady imperium rzymskiego”.

W tym miejscu można by w gruncie rzeczy postawić kropkę i przejść do innych operacji, gdybyśmy nie mieli coraz częściej do czynienia z fałszowaniem historii wojny, czym na Zachodzie zajmuje się rosnące z roku na rok grono osób.

W niektórych pracach historycznych, nawet w takich wydawałoby się poważnych, jak książki amerykańskiego historyka, F. Pegowa lub angielskiego historyka wojskowego D. Fullera, na próżno szukalibyśmy wzmianki o tym, że wojska radzieckie na froncie wschodnim rozpoczęły operację wiślańsko-odrzańską o osiem dni przed zaplanowanym terminem po to, aby pomóc sojusznikom, którzy w przededniu nowego roku znaleźli się w trudnej sytuacji i, pomimo pewnej poprawy sytuacji, nadal oceniali ją na początku stycznia dość nerwowo. (...)

Iwan Koniew

(Kolejny odcinek w nr 23)

Z WACŁAWEM Mrozowskim zetknąłem się, jako jego nauczyciel, bodajże w roku 1929 na I kursie Seminarium Nauczycielskiego w Chełmie, gdzie znalazł się usunięty z Gimnazjum im. Czarnieckiego. Zrazu nie wyróżniał się wśród kolegów. Ale kiedy, chyba to już było w rok później, nie pamiętam, czy z własnej inicjatywy, czy też sprowokowany przez kogoś, a może na moje życzenie, powiedział z pamięci cały rozdział „Szyfówych prac” — scenę lekcji polskiego, na której nowym uczeń Zygiel ku przerażeniu nauczyciela recytuje „Redutę Ordona”. Z książką w ręku sprawdziłem jego słowa z tekstem powieści. O, dziwo! Nie było żadnego potknięcia. Co więcej, mówił z zrozumieniem i z uczuciem, właściwie kładąc akcenty logiczne. No, pomy-

„Antologię poezji szkolnej”. Niejeden z autorów — uczniów, który tam się znalazł, stał się w przyszłości pisarzem, np. Zukrowski. Wydana w niewielkiej liczbie egzemplarzy książka ta jest dzisiaj białym krakiem. Miałem ją od Mrozowskiego i na jego prośbę zwróciłem mu ten dar, gdyż brakowało mu jej w jego księgozbiórce. Z Wackiem, jak i z wieloma moimi uczniami, zwłaszcza tymi, którzy interesowali się poezją, pozostawałem w bliskim i serdecznym kontakcie. Dedykowałem mu swój pierwszy zbiorek, współpracowałem z przedwojenną „Kamena”, pisałem do mnie listy z Warszawy, odwiedził mnie. Korespondencja trwała latami aż do ostatniego roku. Z ciekawości czytałem jego „Cyganerie” i „Wspominki dolnośląskie”, z których dowiedziałem się wiele o jego losach.

można jakoś pożywać jeszcze, choć dotknęła on utracając na tehaucie — stąd duszność, brak powietrza, zwłaszcza nocą, które są białe, bezsenne. Kiedy niedorzecznie roli: Irena czeka na jakiś samochód, aby dostać się do Kazimierza, gdzie chce wynająć na sierpień jakiś pokój... Albo: We wrześniu podobno otworzyć muzeum J. Cz... Jak bardzo chciałbym już wydobrzeć do tego czasu i pojechać, trzeba by podzielić się wspomnieniami o Józiku... złożyć parę kwiatów na mogile... Tymczasem w tym właśnie wrześniu na jego grobie składano kwiaty i dzielono się najsmutniejszymi wspomnieniami z jego tragicznego życia.

A w tym już ostatnim liście z końca maja: Za rok, jeśli dożyję... za wszelką cenę będę chciał zamieszkać w Lublinie... Chęć spocząć na chełmskim cmen-

Popatrz z bliska!

ZYGMUNT MIKULSKI

JEST już dość późny wieczór (świadomo, jak to noć jesienią na wsi), kiedy z grupą uczestników inauguracji roku kulturalnego dojeżdżamy do Hutek. Hutek? Trudno jakoś skojarzyć nazwę z pejzażem, nawet jeśli na uboczu pozostawimy jego niewidoczność. Hale, haldy, — wszystko to raczej w naturalnej fantazji, aniżeli w jakiegokolwiek aluzji do tzw. rzeczywistości. Idź śmiało. Wpadniecie raczej w kałużę, aniżeli w płynne żelazo.

Na być otwarcie wiejskiego domu kultury, a w nim klubu „Ruchu”. Publiczność, mimo tak późnej pory, tworzy coś w rodzaju kompanii honorowej na dworcu. Spełnia tym podświadomą rolę: nadaje znaczenia obiektowi, który zawarł w sobie rezultat intensywnego czynu społecznego i honoruje przybyłych. Ci ostatni zaś wyczuwają, że są adresatami nie tylko otwch grzecznościowych ukłonów, ale całkiem wyrażonych życzeń co do udziału w zapelnieniu treści nowo uzyskanej kultury.

Alte jeszcze ta osobliwa sceneria. Powtórzmy: wieś, noc. Elektryczna lampa kluje surową ciemność, wtapiają się w nią rzadkie gałązki uciętej świerczyny, flaga chłastana wiatrem wydaje miśnieńcia krótkie i nierytmiczne. Wdziera się w ten chaos odgłos mosiężnych trąb.

Wiadomo jakiej miary to wydarzenie dla Hutek. Na spotkaniu działaczy kultury w czasie imprez inauguracyjnych mówił ktoś o znaczeniu głupiego telewizora. Ot, skrzynka z ruchomym obrazem, a ile nowego w stosunku do poprzednich okresów nudy. I że kiedy się popsuła, znów nie było co robić. Zebrała się kawalerka i nie pozostało nic innego, jak przepatrywać u kogo dojrzały papierku. W Hutek już papieruśki liczyć nie będą. Jest tam nie tylko telewizor, ale i kawiarnia, a przede wszystkim sala widowiskowa ze sceną. A także bilard z grybkiem.

Widocznie będzie i zabawa, bo przy sąsiedniej chacie widnieć jakieś instalowanie (coś przecież trzeba przepłyść) lady sprzedażnej. Ładny widok. Żółte listwice zwisa nad stolami wraz ze spokojnym światłem, białe ściany chwytają na siebie odbicia wyolbrzymionych cieni, oddalenie czyni z tego miejsca jakiś fragment zjawiskowy czy wycygni. Jakoś bardzo po piastowsku. Czy przypadkiem na dzisiejszą uroczystość nie są przewidziani aniołowie? Bo tylko przynieść miskę i robić postrzyżyny Ziemowita.

Szeroki, panoramiczny film nocy. Krugorama. Projekcja ciemności tak intensywna, że zda się muchą elektryfikacja. Ale jednak. Przez wyostrożoną grę kontrastu białe paluszki niech tylko trochę tknięta światłem rysuje się przeczność konaru.

Tymczasem gospodarze zapraszają na „czym chata”. To taki bezpośredni kontakt „miasta” ze „wsią”

osnuty już nie na kanwie artystycznych występów, prelekcji czy wyjazdowej sesji, ale stosunków czysto osobistych, które zaczynają coraz bardziej intensywnieć. Bo wieś, owszem, posiada dużą chłonność na „treści merytoryczne”, ale nie rezygnuje również z towarzyskich kontaktów i dopomina się o nie coraz bardziej. Parę lat temu istniało zapotrzebowanie na elektryczne żelazo. Dziś — na pisarza. Na jego osobę. Nie tylko na jego fragment powieści, cykl wierszy, wyznania na temat. Tego nie załatwi nawet telewizja. Owszem, przyrzuci im Bratnoga, Michnikowskiego, doktora Schütterera, pęś Balbinka. Ale to lizanie przez szybki choćby najlepszego cukierka nie zastąpi smaku bezpośredniej rozmowy z jej możliwością pytań, samorzutnie powstających problemów, niespodzianek i do sytuacji dopasowanych dowcipów. Ostatecznie żaden obraz życia nie jest nim samym.

Więc chodzi staryku, dyrektorze „Estrady”, organizatorze k-o, dziennikarzu. Teksty i zestawienia zostały w lubelskich szufladach. Popatrz z bliska na rezultat i teren przyszłego działania. Jak intensywnym pulsem musi bić źródło wojewódzkiej inicjatywy, by swoją falą docierała do tych wszystkich Hutek nie tylko w czasie zamajskich inauguracji. Wieś zgłasza zapotrzebowanie na tak wiele, że jej gościnność dla wszelkich rozrywkowych, oświatowych wizyt jest prawie nieograniczona. Mówi się, że jest ona wdzięczniejszym polem dla wszelkiego rodzaju „spotkania-wych” prelegentów, aniżeli miasto. Owszem tak, ale nie świadczy to o „zblazowaniu” jego, lecz o niedosyconiu jej. Kiedy wieś przyjmie na miarę swego apetytu, stanie się również „zblazowana” i to jest moment, do którego powinniśmy dążyć. Właśnie możliwość i umiejętność wyboru, właśnie stosowanie jakiegoś kryterium ucartościowania świadczy o osiągnięciu pewnego kulturalnego standardu. Na razie na wsi tego nie ma. Jeszcze tego nie ma. Poehantiane jest wszystko „jak leci”. Przycięcie jednak czas uwzględniania gatunku przy kupnie, które teraz odbywa się pod presją nie podniebienia, lecz żółdka.

Alte co tu jeszcze o podniebieniu przy tak pełnej satysfakcji z racji gorącego bigosu. Jakże w porę podane wobec konieczności rychłego kontaktu z fluktami jesiennej nocy to drodze powrotnej. Ale niósł się nie śpieszy. Jeszcze jeden toast dzisiaj. Jakoś trudno przerwać to rozkołysanie serdeczności, ten rozgwar sąsiedzkiej rozmowy dawno już wyszłej z opłotków wąsko praktycznych spraw, idącej gościnnie rozbaawienia i poczucia wspólnoty. No tak, tą szerszą drogą będziemy wracali do Lublina.

„To już tragedii jest epilog”

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI



śląłem sobie, za co też go się pożyło gimnazjum? Przecież to zdolny chłopiec i jaką ma świetną pamięć! W teatrze szkolnym w „Leokarzu mimo woli” zupełnie dobrze wywiązał się z roli Sganarela. Kiedy dzisiaj przypominam sobie scenę, kiedy jako drwał pociągał sobie z flaszki oczywiście wodę imitującą wódkę i z czułością zwracał się do niej: „Flaszeczko moja mila, jakże czarowna sila jest itd.” (w tobie, widzę w tym obrazie tragicznego symbol tego, co miało się stać przekleństwem jego życia. Później występował w „Weselu”, które zarzykowaliśmy wystawić w 25 rocznicę śmierci poety. Bezstronnie muszę stwierdzić, że jednak nie sprofanowaliśmy arcydzieła Wyspiańskiego. Mrozowski grał w sztuce dwie trudne role: Rycerza i Wernyhory.

Brał żywy udział w pracy Kola Literackiego, które miało na celu głębsze i pełniejsze, niż to przewidywał program, zaznajomienie się z twórczością Stefana Żeromskiego, obranego patronem organizacji, oraz zapoznanie się z współczesną poezją polską, która zupełnie nie wchodziła w zakres nauki szkolnej — od Staffa i skamandrytów do futurystów. Niektórzy członkowie Kola pod wpływem wierszy nowych poetów zaczęli sami próbować sił w poezji. Wśród nich znalazł się i Mrozowski. Jeszcze jako uczeń IV i V kursów wydał dwa zbiorki poetyckie — „Mosty nad życiem” (1933) i „Rzeczywiście” (1934). W rok później opublikował w Chełmie jedną z swoich rodzaju

Był dobrym poetą. Był dobrym człowiekiem. Niestety, opętany przez demona alkoholizmu. Wstrząsająca jest ostatnia jego książka „Z Johnem Barleycornem” — smutna, beznadziejna w swym tragizmie, w abulii jej autora, który zdaje sobie sprawę z niszczycielskich skutków nalogu i ze swojej słabości: *Samotności pragnę, snu, spokoju, / drzew urody i ciszy kwiatów, / oczyszczenia ze złud alkoholii, / co zrobitu mnie wnętrzem granatu... Cóż z ucieczki? Cóż z radości żony, / skoro wrócę wieczorem pijany? / Widać zawsze w jakim umknę strony, / wszędzie będę na niego skazywany. / To ostatnia książka, ale jaki dziwny jest jego pierwszy zbiorek. Skąd ten smutek u ucznia, młodzieńca wstępującego w życie? Skąd ta skarga: / I szukam owego portu, / w którym ktoś na mnie czeka, / by przyjąć mnie jak brata / lub / choćby nawet człowieka! / I wiem, że podróże daremna, / bo ten ktoś mię nie pozna, / nie wyjdzie w nocie ciemne, / których jam tyle doznał. / Skąd ten cykl wierszy szpitalnych? Autopsja? Przeczucie? Bo z pewnością nie poza. Bądźcie błogostawieni, / nędzni cierpiętnicy, / przybiti koniecznością bez ruchu do łoża. / Po trzydziestu czterech latach sam miał się znaleźć w gronie tych łazarzy i pisać: / W mury te ucho-dzą wszyscy, / wychodzą wybrani nie wiedział, że się wśród tych wybranych nie znajdzie.*

Listy Wacka, listy ostatnie pisane w chorobie... Kiedy ludzi się jeszcze: Z rakim w śródpierziu

tartu. Tam Rodzice... Może gdybym wyjechał gdzieś na 2-3 miesiące na jakąś wieś, nad wodę, przestał myśleć o tym wszystkim, ale teraz to niemożliwe... I kto wie, czy nie zdecydowałbym się na Naleczów, w roku zeszłym czulem się tam nie-
...Wiatr mosiężem liście zaniata, chełmski wiatr — swawolna ulicznica...
Sycą melodią jak dawniej czaruje i wciąż woła mnie do Chełma, woła...

Ostatni raz odwiedził nas z żoną późną jesienią ubiegłego roku. Mówił z trudem, szepem — rak krtań (później nastąpiły dalsze przerzuty). A wciąż interesował się poezją, kolegami, rodzinnym Chełmem, któremu poświęcił ostatni swój wiersz zamieszczony w „Kamieniu” na miesiąc przed jego śmiercią:

...Wiatr mosiężem liście zaniata, chełmski wiatr — swawolna ulicznica...
Sycą melodią jak dawniej czaruje i wciąż woła mnie do Chełma, woła...

W chełmskiej uczniowskiej „Spójni” debiutował, Chełmowi pożegnał na poetycką daninę złożył... „To już tragedii jest epilog, w której bohater kończy życie”. Wacek, kran, uczeń, kolega, bliiski nieszczęśliwy człowiek.

Popych czy nie popych ale problem jest...

CALE szczęście, że kol. Mirosława Knorr ze „Słownika Ludu” nie zamieniła się „Wstąpił soli żony biblijnego Lotu”, jak to groziła w nr 247 z 17 października. Szokada byłoby miłej koleżanki. Ta groziła zaś zawiła nad nami, gdy kol. Knorr przeczytała w „Kamieniu” sprawozdanie z dyskusji na temat studentów i roku pt. „Czołganie się, zryw czy sprint”. Napisała więc felieton w tymże „Setandrze”, dając adekwatny tytuł i stopiwszy tytuł „Czołganie się z... popychem”.

Oczywiście można dziwić się, że poruszone przez dyskutantów problemy dziś istnieją, ale to nie zmienia faktów: są i w dzisiejszych warunkach, nie stano-wią sprawy osobistej studenta, na którego my wszyscy płacimy wcale pokazywane sumy.

Aby dowiedzieć się, co o tym wszystkim myśla sam student, przy współpracy z Radą Okręgową ZSP zorganizowaliśmy w klubie domu akademickiego F „dyskusję o dyskusji”. Pragnąc uzyskać maksymalnie szczerą wypowiedź, nie zaprosiliśmy pracowników nauko-

wych, nie pytaliśmy dyskutantów o nazwiska. Ich spostrzeżenia i wnioski erupcyjnie według zagadnień merytorycznych, poruszonych w pierwaziej dyskusji lub wyolionanych dopiero teraz. A więc próg psychologiczny. Jego istnienie uznają wszyscy. Większość dodawała, że przede wszystkim trzeba przystosować metody nauczania w wyższych klasach szkół średnich do metod w szkołach wyższych. Nikt z obecnych nie mógł tu pochwalić własnej szkoły średniej. Studentka chemii dodała, że podreczniki tego przedmiotu w liceach ogólnokształcących są bardzo przesła-rzane, pokazywane (rzadko) w szkołach, aparaty dawno nie używane, uczniowie z techników chemicznych są bez potów-niania lepiej przygotowani, różnicę zanikają dopiero po dwóch latach. Na uczelniach powinno tworzyć się grupy nie według listy alfabetycznej, a rodzaju ukończonej szkoły, środowiska, z którego się pochodzi. I słabszym grupom przydzielać lepszych asystentów, aby wyrównać poziom.

„Zawrót głowy” od wolności studenckiej? Przyznają to wszyscy od III roku począwszy. Występuje on już po dwóch tygodniach, czasem po miesiącu. Niestety, najgłębiej pod wpływem starszych kolegów, którzy zapewniali: nauczysz się tego w kwietniu. Wielu młodych chciałoby się nawet dobrze uczyć, ale zwycięża fałszywy wstyd, że „nie wypadną”. Potem przed sesją,

gdy zaległości są ogromne, nie już nie pomoże.

Trochę kontrowersji wzbudziła teza, że warunki materialne nikogo jeszcze nie zmusiły do przzerwania studiów. Okazało się, że niekiedy zanosiło się na to, ale w końcu zjawia się pomoc ze strony uczelni czy organizacji studenckiej. Ale podano przykład z wydziału prawa, gdy pracownica kancelarii obojętnie przystawiała pieczęć na rezygnacji pewnej studentki, która nie miała za co żyć i wracała na wieś. Dopiero asystent zrobił larum, dziekan posłał telegram z wezwaniem, zapewnijając zarazem stypendium.

Zresztą na administrację uczelni było więcej narzekan. Niektóre panie z dziekanatów obrażają się, że student przeszkadza im w mieszaniu herbaty, przyjmują dokumenty raz czy dwa razy w tygodniu przez dwie godziny nie ogładając się na roszkad zajęć, którzy przecież powinny doskonale znać. Zbyt często traktuje się studenta z góry, jak przyszłowiowego potentata w przyszłowiowym kwateryunku. Nie jest to dobra szkoła życia. Niekiedy straszmy lub wi-dziemy — mówili dyskutanci — jak jeden asystent wyraża się bardzo ujemnie o drugim, inny znów pozytywnie opinię o drugim uzasadnia dobrym parzeniem kawy.

Żle przygotowanie asystenta sacyna się już podczas stażu. Kandydat na

asystenta robi porządki w szafach. Spon-rządza różne papierki albo dekuje się. Dlaczego stajęci nie są obecni na ćwiczeniach prowadzonych przez lepszych asystentów? Potem rzeczywiście liczy się publikacje do pracy doktorskiej, a nie to, że prowadzi ćwiczenia z trzema grupami, że ma dobre wyniki nauczania. Nie dziwnego, że część z nich „odwala” ćwiczenia. Gdy student widza, że asystent spogląda na zegarek, że jest zajęty głównie własną pracą — docho-dzą do wniosku, że ćwiczenia nie są ważne, a więc opuszczają je.

Wszyscy — do studentów VI roku — twierdzą, że 15-minutowy egzamin u profesora czy docenta nie jest sprawdzianem wiedzy studenta. Wciąż jeszcze jest zbyt wiele szczegółowych pytań, zwłaszcza na egzaminach z przed-miotów humanistycznych. Pewien dy-skutant nie zdał egzaminu, ponieważ zapomniał o jednym z wielu uprawnień wodza Franków. To pan tego nie wie? — słyszy się zbyt często przy szczegóło-kach i dostaje dwójkę. Przy każdym egzaminie powinien być obecny asystent, jego opinia powinna być dla profesora wiążąca, bo mimo wszystko asystent zna studenta znacznie lepiej. I jedno pytanie z trzech właśnie on mógłby zadawać.

Ocena pracy asystenta, o jakiej była poprzednio mowa, poraża za sobą nieodwracalne skutki. Potem jako docent czy profesor może być doskonałym naukowcem, ale nie jest pedagogiem, nie umie ciekawie wykladać, nie umie zainteresować studentów przedmiotem, który zresztą doskonale zna. Na wykłady jednych chodzi się kompletni, innych unika jak ognia. A podreczniki i skrypty stale jest zbyt mało. Krąży skrypty pisane okropną polszczyzną, a podstawowymi błędami rzeczowymi, a do zrobienia przywołanych nikt się nie zabiera.

Technika uczenia się jest rzeczą ważną, ale tylko na niektórych kierunkach coś się o tym mówi, zresztą wciąż zbyt mało. „Technologia pracy umysłowej” Lujana Rudniańskiego powinna być

podrecznikiem obowiązkowym na wszyst-kich wykładach, a tymczasem znaczna większość studentów nawet nie wie o istnieniu tej książki. Początkujący student usiłuje niemal dostojnie notować wykład, oczywiście gubi się, wywala pojedyncze zdania, a nie rozumie całości. Pracownicy nauki, a zwłaszcza asystenci, powinni uczyć się nie tylko pedagogiki, ale także i sztuki prowadzenia dyskusji (od Sokratesa).

A oto — już tylko w jednym zdaniu — inne poruszone sprawy. Co dopin-guje studentów do osiągnięcia lepszych niż „państwowe” stopni? Wyniki kol-garszaja także ci, którzy idą na studia, aby uniknąć normalnej służby wojsko-wej, albo te, które w ten sposób szuka-kają męża. W akademikach jest zbyt mało pokojów do nauki, na wydziale humanistycznym UMCS portierka twierdzi, że nie wolno uczyć się w winnych salach, bo a nuż... zginie krzesło? Kiedyś student chciał się durtym faurem, dziś my sami mniej siebie cenimy, nie dziś, że i nas mniej cenią, a to ważny moment psychiczny. Studenci chemii, biologii i mikrobiologii UMCS pracują w strasznym — z przeproszeniem — smrodzie, wentylatory prawie nigdy nie działają. „Okienka” pomiędzy wy-nikami i ćwiczeniami muszą być, ale kładami i ćwiczeniami muszą być, ale wkład ich jest za duży, kradną czas. Zbyt wiele tracimy czasu w kotejkach w stołówce (i razy dalszenni), w biurach administracji, na przystankach notaki. Kiedy uczyć się i porządkować notaki, gdyż zajęcia kończą się o 20, a zaczyna o 7:35?

Tyle przyniosły dwie dyskusje. Nie silimy się na opracowanie recepty, ale jak zwiększyć efektywność nauczania. Sądzimy jednak, że omawiane proble-my warte są zastanowienia, że warto o nich dyskutować i w gronie naukowców i wśród studentów. Do niektórych spraw powrócimy jeszcze.

CORAZ częściej wylania się ku mnie z mroku — wysoki, silny, tosy — coraz częściej wynurza się z tego lochu, do którego wiodły schody, zstępujące ukośnie w dół pomiędzy dwiema prostopadłymi ścianami, surowymi, nieotylnymi. Stopnie te oddzielone od reszty gmachu ciężkimi, żelaznymi drzwiami.

Troje było drzwi w tej rozległej, mrocznej sieni, która mnie przywitała o zapadającym zmierzchu. Jedne odmykano, by wypuścić nowo przybyłych więźniów, drugie uchylano do kancelarii, skąd po przyjęciu od konwojentów dokumentów i spisaniu personaliów prowadzono więźnia do wyznaczonej celi na jednym z pięter; trzecie drzwi to te, które prowadziły w dół do karceru, mieszczącego się głęboko pod ziemią, poniżej poziomu podwórka, przeznaczony na spacer. Był to niewielki placzyk traktowany systematycznie od dziesięciu lat, niełagodnie chłodny, nawet w dni upalne; otoczony ze wszystkich stron wysokim murem — niższym od tego, który okalał cały ten teren — tonął nieprzerwanie w ciemności.

Coraz częściej przychodził ten człowiek, z którym kiedyś, dużo lat temu, zamieniłem kilka zaledwie słów; działało to poprzez zatrzaśnięte drzwi, w dzwonieniu łańcucha, przez jeden przypadkowy moment nieuwagi strażników. Po tylu latach on znów się zjawia, a ja nie mogę ominąć postaci ani wydarzenia, nacierającego na mnie z coraz większą mocą.

Pamiętam dokładnie, kiedy się wynurzył z mojej pamięci, której nie oszczędziły żadne potworności na miarę ludzką i na miarę ludzkich wynaturzeń.

Kiedy tu przybyłem, dzień był ponury, już miał się ku końcowi, padał ulewny deszcz, a niebo zgaśniało czarnymi, ciężkimi chmurami leżącymi niemal na wierzchołkach drzew Świętego Krzyża, gdzie u końca stromej drogi ujrzałem resztki więzienia.

I wtedy zjawiał się w mojej pamięci: natychmiast po uchyleniu okutych drzwi ujrzałem go w karcerze, właśnie w tym lochu, do którego wiodły ukośnie stopnie zamknięte surowymi ścianami. Stał na dole głęboko pod ziemią i uniósłszy twarz patrzył na mnie, nie, nie na mnie, on spoglądał na drzwi za moimi plecami, które — uchylone — przepuszczały szparę światła, a ja stałem tam gotów w każdej chwili zawrócić, uciec w deszcz i wicher, w szaleństwo hucających drzew, czarniejszych od nocy. Gdy patrzyłem na dół, widziałem tylko jego twarz, białą zupełnie, bo w tej wydłużonej perspektywie schodów, zakończonej lochem karceru, widoczna była jedynie jego twarz — ciało pozostawało w mroku, jakby zagrzebane w ziemi.

Zaczęłam schodzić w dół. Czyniłem to nie dlatego, że on tam stał i czekał, wiedziałem, że tam nie ma nikogo, schodziłem do lochu, aby w tym gmachu milczącym i ciemnym, wypełnionym tłumem niezliczonych cieni i drżących głosów bólu, wybrać miejsce najbardziej ponure, przeznaczone dla więźniów zmarłych za życia.

Wchodziłem do karceru, nasłuchiwałem ziemi, murów i nasłuchiwałem, czy tam, na górze, nikt nie zatrzaśnie okutych żelazem drzwi, nasłuchiwałem wypełniony przerażeniem i strachem. Spojrzałem ku górze, tam schody się wydłużają zamykając perspektywę zwężającą się coraz bardziej.

Gdy go wzywano, wychodził z lochu i strażnik, czekający na górze przy drzwiach, wiedział, że więzień idzie: nie ulegał halucynacjom pietrującej się perspektywy, nie ulegał złudzeniom wzrokowym, on słuchem, niezapewny nawet wystraszony, stwierdzał, że wzywany przez niego więzień opuścił podziemną celę ku drzwiom, bo za każdym krokiem odzywały się ciężkie łańcuchy skuwające ręce i nogi zespolone dodatkowo łańcuchem, łączącym te u rąk i te u nóg. Ten trzeci łańcuch zwiśla luźno i wędrował za ręką więźnia, gdy dźwignięta ku ustom zbliżała kubek albo kawałek chleba.

Dowiedziałem się o jego obecności właśnie dlatego, że dniami i nocą trzymano go w tym zaprzęgu z żelaza. Więźniowie przybywali i opuszczali mury, znanym godzinie kancelaryjnych manipulacji: przyjmowanie więźniów odbywało się do piątej, a zwalnianie tylko do godziny pierwszej. Również on przyszedł o godzinie przewidzianej regulaminem, nie musiałbym nawet wiedzieć, że jest wśród kryminalistów ten więzień niezwykle, gdyby o jego przybyciu nie daly znać te łańcuchy. Pierwszy raz usłyszałem dzwonienie łańcuchów wraz ze szcękaniem furtki w bramie, otwieranej na przyjęcie więźniów: dźwięk wiół się nisko przy ziemi, ogłaszając istnienie kontaktu kryminalu z niewolnictwem — potem to metaliczne szuranie, podcinające więzienną ciszę, przeniosło się do kancelarii, gdzie uciechło na krótko, następnie podniosło się na piętro — stopień za stopniem. I tak, podzwaniając łańcuchem, wszedł w ciszę murów zakłócaną od tej chwili ciągle, nieprzerwanie.

Widowałem kryminalistów z okna celi, spacerowali po niewielkim podwórku, spotykałem ich na korytarzu, ale były to spotkania sporadyczne, wynikiem z błędu sprawującego, iż oni jeszcze szli przez korytarz, kiedy otwierano moją celę, albo ja nie zdążyłem jeszcze wrócić z krótkotrwałego spaceru, kiedy ich już prowadzono schodami ku ogromnej kracie, oddzielającej część parteru od korytarza zamkniętego furtką wiodącą na podwórko. Ale również wówczas, gdy tych ludzi nie widywałem, wiedziałem, że są wśród murów, na tym samym zamkniętym obszarze, na którym i ja przebywałem. Głosem ich nigdy nie słyszałem: nie zamienili ze mną żadnego słowa.

A jego słyszałem. Mówił wśród nocy, w ciągu dnia, przemawiał żelazną uprzęgą do krat i ścian, przemawiał dzwonieniem łańcuchów, jak dźwiękiem przelęgającym przez mury i korytarze. Głos okowy wbiegał na wszystkie strony, również ku niebu i ziemi, łańcuchy ocierały się o ście-

bie, podzwaniając jak potok. Gdy przesunął rękę lub stopę, budził napędy trzech łańcuchów na raz i wydawało się, że już ułamił odróżnić przekleństwo łańcucha od prośby, pogroźki, gniewu, gwałtu nie znałszy od tego, który pomagał mu usiąść lub położyć się na przyczepie.

Słyszałem go przemierzającego celę, słyszałem tych osiem czy dziewięć kroków, słyszałem upartą płątaninę dźwięku, gdy zwracał i znów odmierzał parę metrów, by ponownie wrócić. Trwało to przez cały dzień, od apelu porannego do apelu wieczornego. Wiedziałem kiedy idzie korytarzem — loskot łańcuchów wyprzedzał go, a w miarę oddalania się, dzwonienie się zacięrało. Wiedziałem kiedy przewraca się we śnie, musiał unosić ręce, przemieścić je lukiem ponad spoczywającym korpuskiem i ponownie przybić do siennika uderzeniem łańcucha, którym wypędzał ciszę z całego gmachu.

Z twarzą przy okienku widywałem go na spacerze: wysoki, barczysty, z ogoloną głową, krążył wokół kiambu. Był jeszcze młody, mógł mieć trzydzieści lat, chodził krokiem powolnym, odmierzanym, w dźwięku metalu, który się zbierał wokół niego, a potem odbiły, odbiegał od muru, wyrastał w górę. Stawał krok, łańcuch go hamował, znów wysunął nogę, okowy znów daly znać o sobie siłą hamowanego rozpędu nóg skutego człowieka. Te łańcuchy były jego zaprzę-

żem. Już chciał zapytać: „jakiego człowieka, którego”, ale przypomniał sobie o skuteczności wszelkiej odpowiedzi, jakiegokolwiek odpowiedzi, bo czy miało sens wdawać się w szczegóły, w wyjaśnienie okoliczności, które mogły tylko pogmatwać całą historię i ukazać sprzeczności uwalniające go od ciężkiego zarzutu? Nie chciał być niewinny, pragnął sądu, bo tylko wówczas wyznaczano termin nowej rozprawy, przedłużającej życie.

— Więc pytam, dlaczego oskarżony zabił tego człowieka?

— Te zbrodnie motywują bolesną rutyną — wyjaśnił spokojnie i poruszył ręką, jak by go łańcuch uwierał.

— A co było przyczyną pierwszego mordu, za który oskarżonego skazano na karę śmierci?

— To nie należy do tej sprawy.

— Dobrze. A drugiego?

— To właśnie już rutyna.

Tak więc od roku zajęty był poszukiwaniem nowych nie wykrytych zbrodni. W drugim więzieniu szukał wśród skazanych resztek ciężkich, nie wyjaśnionych spraw, był gotów przyjąć je jako swoje własne, by — przynajmniej się do winy — wejść ponownie w kolowrót śledztwa, dochodzeń, indagacji. W gąszczu przekleństw, modlitw, monologów szaleńczych i obłąkańczych, bezwładny i obezwładniony, z ostatnią nadzie-

— Już nigdy. Nareszcie. Już nigdy nie pomyśla, że to ja zrobiłem.

A ten skuty zapytał po chwili:

— Czy masz jeszcze kogoś?

— Kogo?

— Kogoś, kto chciałby tak, jak ty. — Nie mógł powtórzyć słów, którymi do tej pory przekonywał opornego.

— Nie.

— Szkoda. Gdybyś znał, albo gdybyś sobie przypomniał. Albo gdybyś się dowiedział o kimś, kto przed rokiem...

— To co?

— Zyskałbym jeszcze trochę czasu.

— Wskrobujesz ty to swoje życie, wy-

skrobujesz.

— Co jeszcze można robić w takiej uprzęży? — Uniósł dłoń, w ciemnościach nie widzieli swoich twarzy.

Również tutaj szukał, musiał szperać, węszyć, szkobył więźniów nie przynajmniej mu się do zbrodni, którą przybyły mógłby wziąć na siebie. Dwa więźniowie, zmieniający się kolejno w wąwozie z ułożonych sienników, nie mogli pomóc ani sobie, ani jemu. Pierwszy przyznał mu się do zabójstwa dokonanego tego samego dnia, kiedy on popełnił swoje, drugi porwał się na swój czyn dzień wcześniej, ale w miejscowości oddalonej o trzysta kilometrów.

Jeszcze nie tracił nadziei. Ta zdolność postrzegania, która mu pozwoliła w więzieniu wyłowić spośród wielu więźniów tego powiernika, wyciągnąć go wiarę, podzielała wyobraźnię, podrywała w chwilach zwątpienia. Słuchał, potował na słońcu, a w nocy dawał suse w bełkotliwe krzyki więźniów, wyrzających się we śnie ku swoim desperacjom, nieszczęściom i ucieczkom. Te nocne krzyki stawały się jego przynętą, szedł za głosami jak zwiadowca pragnący dorwać się do strzępów zdania z podartymi, ale tetelącymi słowami, które łączyły w całość trwałą i pewną — wieziony wolał żyć przez sen — zasnął się za dnia brakiem pamięci, niewiadomością. Ten w łańcuchach wiedział, że już jest na tropie: ten drugi, pełen furii, bliski rozpacz, czując rozkładającą się tajemnicę, gotów był bronić siebie, zbrodni, której nie chciał powierzyć nikomu. Nawet temu, który mógłby go uwolnić od niej, by zabrać ją ze sobą do grobu.

— Mów, ja znam ten krzyk, już ty mi nie powiesz, że to nie to, ja za każdym razem poznaję ten krzyk.

— Odejdź.

— Uwolnij cię od strachu, od krzyku, od wszystkiego.

— Nie krzyczałem.

— Krzyczałeś i tylko ja odbiorę ci ten strach, tylko ja mogę ci pomóc. Kto jeszcze weźmie na siebie twoje...

— Odejdź, mówię ci.

— Nie chcesz? Dobrze! Ale pamiętaj, że może być za późno.

— Ja już dostałem swoje osiem lat.

— Ale nie za to.

— A za co?

— Ty dobrze wiesz, o czym mówię. Za to nie dostaje się osmiu lat.

— Idź, idź, wariacie.

Zapukał do moich drzwi, stał przy wycierce, widziałem tylko jego zreniecie, ale wiedziałem, że to on. Przeprowadził go dźwięk łańcucha, który zamikł pod drzwiami mojej celi. Ręka uniesiona pospiesznie raz jeszcze szarpnęła łańcuch, zatrzaśnięta osłonę, a on przyglądał mi się w ciszy.

— Słuchaj — powiedział. — Powiedział mi, za co siedzisz.

— To nie tajemnica — odparłem.

— Zabiłeś.

Milczałem.

— Ja to wezmę na siebie — powiedział.

— Dlaczego?

— Mnie to potrzebne.

Nie odpowiedziałem.

Zreniecia cofnęła się i znów przybliżyła.

Powiedział:

— Byłem jeszcze wtedy na wolności, mogłem to wziąć na siebie.

— Nie chcę.

— Wezmę to na siebie — powtórzył.

— Nie.

— Przynałeś się? — zapytał.

— Nie — odparłem.

— Więc ja się przyznam.

— Nie.

— Możesz mi przedłużyć życie, zrozum. Mnie przedłużysz życie, a ty wyjdiesz.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo ja się przyznam.

— Nie rób tego — powiedział błagalnie.

A potem z rozpaczą: nie rób tego!

— Ja się przyznam — powiedziałem.

— Dlaczego?

Ta zreniecia pochłaniała w mgnieniu, patrzyła na mnie bez zmużenia. W posępnej ciszy łańcuch zadzwonił i dźwięk bezzilny zgasł.

— Ja muszę jeszcze czekać — powiedziałem. — Jeszcze czekam.

— Ja to wezmę na siebie — powtórzył.

— Ja się przyznam — powiedziałem.

— Przecież nie musisz. Nagle stał się pokorny, czulem, że nie chce zgubić tej odrobiny nadziei, jaka jeszcze żył.

— Już ci powiedziałem. To muszę być ja.

— Zrozum, to niepotrzebne, ja już jestem przygotowany na wszystko, ja już wszystko wiem, powiedz na co czekasz?

— Bo nie ja to zrobiłem, ale ja się przyznam. Jestem komunistą.

On przychodził coraz częściej w pokorze i rozpacz, wynurza się ku mnie z tego lochu, który oglądałem niedawno i słyszę jego głos: jest przenikliwy i błagalny, gniewny i szukający ze mną porozumienia i widzę jego zreniecie nieruchomą, uważną i czekam. Jeszcze czekam dźwięku łańcucha. I zdumiony ciszą wybieram dla niego ratunek, którego dać mu nie mogłem, wybieram dla niego ratunek tak, jak on wybierał sobie czyjeś zbrodnie, przedłużające mu życie, bo tylko zbrodnia niepełniona mogła go jeszcze jednać ze światem. I gdy znów tam przychodził błaganiem w duchu, abym zastał drzwi zatrzaśnięte, lecz one są zawsze uchylone, więc ponownie schodzę na dół do lochu i myślę, czy zdołam kiedykolwiek wyprzedzić o jedną chwilę światła zapelniony tym widmem cierpliwym i opornym.

ŚWIĘTY KRZYŻ

STANISŁAW WYGODZKI

głem, ich dźwięk lejcami i ten dźwięk trzymał go na uwierze, pastwił się na jego nocy i dniu, był wszędzie tam, gdzie słowo zdławione, zduszone palcami śmierci, nie mogło już obudzić żadnego echa. Powalony z wyciągniętymi sztywno rękami i nogami, jeszcze dawałby znać o swym istnieniu — dzwoniem łańcuchów.

Wierne jest przyzwyczajenie murów nawet wówczas, gdy wiadomość gramolić się musi powoli, z trudem.

Słyszałem, jak powiedli go z celi na dół, do kancelarii na przesłuchanie prowadzone przez sędziego śledczego, przyjeżdżającego kilka razy w miesiącu na rozmowę z nim i łatwo mogę sobie wyobrazić scenę takiej rozmowy: surowy gabinet, okratowane okno, biurko. Z jednej strony sędzia śledczy, a jeśli to ten sam, który prowadzi moją sprawę, jest mężczyzną krępy, siwycącym, mówiącym powoli, jak by z lubością przysłuchiwał się własnemu głosowi. Z drugiej strony więzień z rękami opuszczonymi, ale nie wzdłuż szwów: łańcuch zespalał ręce i nogi ciągnie do przodu dłoń, i przestępując z nogi na nogę trąca łańcuchami nudną ciszę. Jego przestępstwo było tak ciężkie, że tym dzwoniem nie usiłował nawet wywołać wrażeń, iż nosi te okowy niezasłużenie.

To on prosił o rozmowę, w toku której pobrzakiwał łańcuchami; chciał przedłużyć dźwiganie łańcuchów, chciałby je nosić ciągle. Skazany na śmierć za dokonane zabójstwa został odesłany do drugiego więzienia, gdzie odbywał się właśnie wstępne przesłuchanie w sprawie drugiego, dokonanego zabójstwa, które do tej pory zataił. Teraz wyznał, że trup, zakopany głęboko pod ziemią w szopie za miastem, to również jego sprawka.

— Czy ostatnia? — zapytał sędzia śledczy, zbarwiwszy głos ironią.

— Nie wiem, panie sędzio, może sobie jeszcze coś przypomnę.

— I tak bez końca, bez kresu, tak?

— Co robić, panie sędzio. Człowiek chce się oczyścić z grzechów.

— I dlatego bierze na siebie cudze?

— Nie, panie sędzio. Chcę mieć czyste sumienie.

— Dobrze. Pięknie. Ilu ludzi oskarżony jeszcze zamordował?

— Przypomnę sobie.

— Po ponownym, skazującym wyroku, tak?

— Może, panie sędzio. Człowiek chce żyć.

— Tamci, których oskarżony zamordował, też chcieli żyć.

Czy miał powiedzieć temu człowiekowi, że zrozumiał to po pierwszym i jedynym zabójstwie? Ale wtedy sędzia zapytałby, po co zabijał jeszcze raz. To przynanie się do nowego czynu spowodowało proces, konieczność wyjaśnienia tajemnicy nie odkrytej do tej pory. Przygotowanie rozprawy wymagało czasu, wielu miesięcy pracy organów śledczych. Tak więc, nie mogąc uratować życia, przedłużał je sobie. Również teraz oczekiwał indagacji, a tymczasem przyglądał się z lubością sterle dokumentów, wiedząc, że już znalazł ślęczkę, którą się wymknie ku następnym kilku miesiącom życia. Sędzia śledczy chciał znać motywy dokonanego morderstwa, ale więzień nawet nie ślil się na szukanie motywacji. Po co miałby to czynić? Przecież sam, dobrowolnie, brał na siebie wyrok, każdy wyrok, wszelki wyrok.

— Ale dlaczego oskarżony zamordował tego człowieka?

ją w sercu, pozbawiony złudzeń i uganiając za nimi, przełamywał nieufność przestępców, szukał ich ręki pomocnej, a znalazłszy błagał, aby więzień skazany za czyn, za który nie płacił gardłem, oddał jemu na zawsze, na wieki utajoną zbrodnię o obeszniętej lub nie obeszniętej jeszcze krwi.

Rozmowy prowadził szeptem i przekonywał przychylnego mu więźnia, iż powinien mu odstąpić tajemnicę, ponieważ po zgłoszeniu zbrodni właściwy sprawca, skazany na dziesięć lat za jakies przestępstwo, uwolniony zostanie całkowicie od groźby przypomnienia mu dawnej, tej nie ujawnionej do tej pory zbrodni, po czym będzie mógł spokojnie zanurzyć się w nadziei nie zakłóconej już nigdy żadną groźbą, żadnym widmem nowej rozprawy sądowej, jeszcze jednego wyroku — tym razem najstraszniejszego, nieodwołalnego.

— A potem moja śmierć — mówił ten w łańcuchach — zabierze twoją tajemnicę do grobu i będziesz wolny.

Jedni przepędzali natręta, ball go się, ponieważ mówił bez zmiękania o tym, do czego zdążył, bo cóż mógł stracić? A ile mógłby zyskać! I wtedy któryś z tych więźniów, dźwigający już wyrok, powierzył mu swoją tajemnicę, swoją nie wykrytą do tej pory zbrodnię, którą — po opuszczeniu więzienia zabrałby ze sobą — po dziesięciu latach — na wolność, pomiędzy ulicę, w pobliże domu, gdzie w piwnicy spoczywał — do tej pory — szczątki zabitego człowieka. Bał się takiej wolności: tu, w celi, pamięć tak nie oszczędzała jak za murami. Lękał się własnych pomysłów, które mogłyby naprowadzić na ślad. Myśl porażała samooskarżenie.

Rozmawiali szeptem, wśród sienników ułożonych w stos, jak w wąwozie, jeszcze badali się czujnie, wysuwali fałszywe racje, skrepowane lękiem podejrzenia, ale słuchali już głosu nadziei, która nie pozwałała im nocą zasnąć. Więźniowie spali, tylko ci dwaj rozważali swoje postanowienia i tylko ten skuty w kajdany dotykał niepokojnej ciszy, podczas gdy ten drugi smakował już prawdziwą wolność — bez popłochu, bez lęku. Potem, przysunawszy nieprzenikloną twarz, powierzył mu swoją tajemnicę, podawał datę zbrodni, określał miejsce czynu, ale jednocześnie zakładał sztab milczenia nad motywami, natomiast ostrożnie otwierał loch, do którego wejść miała komisja sądowo-lekarska, by stwierdzić, że przyznanie się do winy zostało udokumentowane.

— Nie pomyliłeś? — Usiadł, łańcuch dał o sobie znać uparcie.

— Nie.

— Data, pytam o datę.

— Tego się nie zapomina.

— Kobieta?

— Kobieta.

— Ile miała lat?

— Dwadzieścia sześć. — I po chwili dodał: więcej nie powiem.

— Jak wyglądała?

— Nie powiem.

— Zrozum, mogą zapytać.

— Nie powiem, nie powiem. Dlaczego ty nie rozumiesz?

— Dobrze. Możesz być spokojny.

Tamten odnalazł w ciemności rękę skazanka, ale ten cofnął ją gwałtownie. łańcuch posłuszny dłoni wybuchł hałasem.

— Co ty? — warknął.

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

O MARYNISTYKĘ — BEZ LAKIERU ALE I BEZ DZIEGCI

Ma raczej P. Stopa „Kamena” nr 19 stwierdzać, że na jeden drobny akapit w jego korespondencji z Gdańska...

Odpowiedź jego na mój artykuł to jest takie nieporadne plę-pię, w którym się rol od błędów gramatycznych, logicznych, drobnych kłamań, przebieżnych, maluczkich insynuacji, ale „za to” pełne tupetu i stwierdzeń, które najdelikatniej można by nazwać pochrochostem...

Coś z logiki: Jeśli „fakty, które dzieki p. Miądzowskiemu zaczynają oglądać światło dzienne...”

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

BIAŁYSTOK

W Białymstoku bawiła delegacja Komitetu Miejskiego Komсомоtu w Kownie. Spotkała się ona z instruktorkami...

W Teatrze im. A. Węgliki druga już w nowym sezonie premiera — „Moralność pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej...

W salach Muzeum Ruchu Rewolucyjnego otwarto wystawę malarstwa Wiesława Jurkowskiego. Autor pochodził z Supraśla...

Przy Powiatowej Bibliotece w Łomży działa Towarzystwo Kultury Języka skupiające pięćdziesiąt członków. Pretekstem nad Towarzystwem objął prof. Witold Doroszewski...

KIELCE

W Połańcu, gdzie w 1794 r. został ogłoszony słynny Uniwersał, odbyły się wojewódzkie uroczystości z okazji 150 rocznicy śmierci Tadeusza Kościuski...

Kieleccyżnę odwiedził sekretarz NK ZSL, członek Rady Państwa — Kazimierz Hanach oraz prezes ZLP, Józef Iwaszkiewicz...

Teatr Poezji WDK wystawił program poetycki „Ja człowiek” oparty na tekstach literackich poety F. Meletalskiego...

W Lublinie znowu doszła do głosu sprawa uzyskania pomieszczenia dla Miejskiego Domu Kultury...

ty dla szkół robotniczych oraz dla młodzieży wiejskiej ośrodków stróżni. Fundusz planuje zebranie w przyszłym roku 57 mln złotych...

LUBLIN

W Lublinie odbyły się Ogólnopolskie Spotkania Artystyczne — „Studenci Wielkiemu Pajdziernikowi” zorganizowane przez ZSP...

W Lublinie znowu doszła do głosu sprawa uzyskania pomieszczenia dla Miejskiego Domu Kultury...

W Lublinie znowu doszła do głosu sprawa uzyskania pomieszczenia dla Miejskiego Domu Kultury...

W Lublinie znowu doszła do głosu sprawa uzyskania pomieszczenia dla Miejskiego Domu Kultury...

centrum Lublina. Niemiety, najwznieśli — choć mało użytkowe pomieszczenia zajmują Wydział Kultury PWSZ...

RZESZÓW

Rzeszowski DWZ zorganizował cykl odczytów o sztuce rzezyńskiej i rzezyńskiej. Odbędzie się one w każdy poniedziałek w Domu Sztuki...

Na zaproszenie Akademii Nauk Białorusi dwaj pracownicy Muzeum Okręgowego w Rzeszowie wyjechali do Mińska...

Rzeszowski władze kulturalne szerególny nacisk kładą na doskonalenie kadry instruktorskiej dla ośrodków wiejskich...

Dom Kultury Hut Siatki w Krośnie zorganizował wystawę prac smolarów-plastyków — hutników szklarskich...

Rzeszowski Przedsiębiorstwo „Ruch” zajęło pierwsze miejsce w konkursie na najlepsze wydawnictwo w prasie najwięcej liczby prenumeratów prasy radzieckiej...

„Pamiętnik osiemnastolatki”

Głosy czytelników

(Dokończenie ze str. 10)

Panie Redaktorze! Nie uczyniście „naśladowki” tak. Miałem szczęście przeczytać pamiętnik 16-letniego chłopca...

M. M. w pow. Biała Podlaska prosi o niewymienienie jej nazwiska. Przysłała ona do redakcji długi list...

Pamiętnik — pisze — poruszył mną do głębi. Autorka przeżywała miłość nieodczujemną, że mną było inaczej. Jurka zmieniłam imię — red.) poznałam Jędrę...

Sulcuster — poeciutki, muzyka, radość, lecz wkrótce potem Jurka wyjechał. Bardzo długo czekałam na list...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

„Wielbięnia plodów (moj) wyobraźni” od p. Stopy nie oczekuje, że czytelnicy moich książek wiedzą, że pisanie są z autopsji...

czego tak długo nie pisał? Powinno odejść. Z godnością.

„Mamusia na naszą znajomość patrzyła tak: „Gdybyś ty go tak nie lubiła, to wówczas zapomniałabym na kontynuowanie tej znajomości”...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...



S FRAWA, którą zajął się „TYGODNIK KULTURALNY” nie jest do zlekceważenia...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

sytuacji jakże łatwo o psychozę, o plotkę, o bezsensowną panikę. Piastycznie ukazał to w reportażu „Te idę podpalać...”

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

Osesek karmiony fermentem

(Dokończenie ze str. 7)

niane czytelnictwo, na nią składają się spektakle goszczącego tu systematycznie białostockiego teatru...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

nych rozmowach. Kultura może trochę pozostaje w tyle, ale nie zapomniamy o niej zupełnie...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

„Jeszcze dzisiaj pamiętam pokój, w którym poznałam dziewczę. Panował półmrok. Na stole rozrzucone tomki poezji...

Wojciech Jankowerny

Przepraszamy

Tuż przed rozpoczęciem druku poprzedniego numeru „Kamena” wydarzyła się przykra historia. Drukarzowi rozszarpała się część składu...

